

Rok V.
Kraków, dnia 23 kwietnia 1911 r.
Nr. 17.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Cud Św. Wojciecha.

Dawno temu, już bardzo dawno, gdy Ojczyzna nasza dopiero z dziejowej pomroki wychodzić zaczynała, gdy, jako państwo, tworzyć się zaczynała, żył na ziemi czeskiej święty Wojciech. Wiadome jest wszystkim życie tego wielkiego męża, a tem bardziej naszym Czytelnikom, gdyż przed rokiem obszerniešmy je w »Roli« opisywali.

Otóż święty Wojciech, który przybył jako biskup do Polski, gdy szedł z Krakowa do Gniezna, a potem do Prusaków, aby ich nawracać na wiarę Chrystusową, zatrzymał się we wsi Zagórze, położonej dobrą milę od Krakowa.

Liczni chrześcijanie polscy, którzy poznali cnoty i świętość Wojciecha, żałowali bardzo, że ich opuszcza a idzie w tak daleką i niebezpieczną drogę. To też liczna rzesza wiernych odprowadzała go z Krakowa i doszła z nim aż do Zagórza. Gdy już miano się żegnać, pyta św. Wojciech:

— Nie trzeba wam czego? macie wszystko?

— Ach, Ojcze łaskawy — szepną ludziska — mamy chleba dość, ale woda niezdrowa. Niema źródła dobrego.

Zasępiło się oblicze Męża świętego. Zamyślił się głęboko, a wzniosłszy wzrok swój ku górze, począł się gorąco modlić. Zgromadzeni dech w sobie zatrzymali, zrobiła się cisza ogromna.

Po długiej i gorącej modlitwie święty Wojciech uderzył laską pielgrzymią w ziemię, a w tej chwili z niej zdrój wody wytrysnął. Wśród zgromadzonych powstał szmer zdziwienia na widok cudu, a potem zerwał się jęk i płacz, z którym w niebo popłynęła modlitwa dziękczynna. Następnie rzucono się do kosztowania owej wody i przekonano się, iż miała ona smak przedziwny. Z czasem zauważono, że woda ta okazała się bardzo pomocną na różne słabości oczne.

Nad tem źródełkiem zasadził święty Wojciech lipę, która się wnet przyjęła i liśćmi okryła.

Gdy już święty Wojciech miał wyruszać w dalszą drogę, pewna kobieta przybiegła do niego i pokazała mu ranę od ukąszenia węża i żaliła się, że ludziom jadowite węże okropnie dokuczają. Wiadomo bowiem, że w czasach owych cała Polska była pokryta ogromnemi lasami, wśród których tylko tu i ówdzie znajdowały się osady ludzkie. Miasta nie wyglądały nawet tak, jak obecne wioski, a wsie tworzyło zaledwie po kilka lepianek wśród borów odwiecznych. Lasy te były przepełnione różnemi niebezpiecznemi gadami, które ludziom wielce dokuczały.

Gdy święty Wojciech zobaczył ową kobietę i usłyszał jej narzekania żałosne, rzekł:

— Rozkazuję w Imię Boże, by nigdy tu ludziom węże nie dokuczały!

Istotnie, od tej chwili wężów w Zagórzu nie było i do dziś dnia ich w tej miejscowości niema, chociaż wsi sąsiednich przez długi czas nie opuszczały.

Po wielu latach drzewo, które święty Wojciech zasadził, wiatr wywrócił, a ludzie zanieśli je z uszanowaniem na podwórze dworskie, lecz na drugi dzień ze zdziwieniem zauważono, że drzewo z owego podwórza znikło. Zdziwienie jeszcze nie ustąpiło, gdy ktoś przybieżał z oznajmieniem, iż drzewo znajduje się na dawnem miejscu. Przypuszczano, że przeniósł je tam ktoś dla żartu. Kazano więc drzewo powtórnie zanieść na podwórze dworskie i pilnować je, aby tam pozostało. Lecz w jakiś niewytłómaczony sposób drzewo znów znalazło się na dawnem miejscu. Powtórzono czynność tę poraz trzeci, ale i teraz bezskutecznie, gdyż drzewo znowu wróciło na dawne miejsce. Wobec tego przekonano się, że w zdarzeniach tych jest widoczny cud, jaki sprawia święty Wojciech. Rzekli wtedy ludzie:

— Widać, lipę tę trzeba już tu zostawić — niech dalej rośnie.

I tak zrobili. Drzewo zapuściło nowe korzenie i stoi do dziś dnia.

Na pamiątkę, że w tej wsi św. Wojciech modlił się poraz ostatni, zanim poszedł do Prusaków, którzy go zamordowali, wioskę Zagórz nazwano Modlnicą.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

—x—

2. Listy Simonidesa.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy gońcy opuszczali dom Messali — a była to wczesna jeszcze godzina — Ben Hur wszedł do namiotu Ilderima. Szeik pokłonił mu się, nie wstając z dywanu.

— Pokój tobie, synu Arriusa! Ja i konie jesteśmy gotowi, a ty?

— I tobie pokój, szlachetny szeiku! Dzięki za twą dobrą wolę. Jestem również gotów!

Ilderim klasnął w dłonie.

— Każę przyprowadzić konie. Usiądź!

— Czy już są ubrane?

— Nie.

— Pozwól, bym się tem zajął — rzekł Ben-Hur. — Muszę poznać się z twemi arabami, muszę znać ich po imieniu, abym mógł się z każdym rozmówić. Trzeba mi także poznać ich usposobienia. Bo z końmi, równie jak z ludźmi: ze śmiałym surowo, z pokornym lepiej pochwałą i zachętą działać. Każ sługom, by przynieśli uprząż.

— A wóz? — zapytał szeik.

— Nie wezmę go dzisiaj. Natomiast niech mi przyprowadzą piątego konia, nieosiodłanego, równie lotnego jak tamte.

Zdziwiło to Ilderima, lecz bezzwłocznie zawołał na służbę i wydał rozkazy.

— Syrusza — rozkazał, powstając z dywanu. — Od dwudziestu lat — mówił dalej — Syrusz i ja jesteśmy przyjaciółmi. Był on moim towarzyszem w namiocie, bitwie i pustyni. Pokażę ci go zaraz.

Podniósł zasłonę, rozdzielającą namiot, w chwili, gdy przyprowadzano konie. Jeden z nich miał małą głowę, oczy błyszczące, szyję w łuk zgiętą, szeroką pierś, na którą spadała bujna grzywa, miękka i lśniąca, jak pukle dziewczyny. Zarżał cicho i radośnie na widok pana.

— Dzielny koń! — powiedział szeik, klepiąc jego ciemną szyję. — Jakże się masz, mój śliczny?

Przyniesiono uprząż; Ben-Hur sam włożył ją na konie i wyprowadził je z namiotu. Gdy mu podano Syryusza, dosiadł go tak lekko, jak rodowity Arab i zebrał lejce czterech koni.

— Szeiku, jestem gotów; każ przewodnikowi iść naprzód na pole i przyszlij mi wody.

Nie było żadnego zamieszania przy odjeździe; konie nie okazywały przestrachu. Zdawało się, że już nastąpiło nieme porozumienie między nimi a woźnicą, który spełniał swe czynności ze spokojem i pewnością, wzbudzającą zaufanie. Powoził z konia, w ten sam sposób, jak stojąc na wozie. Ilderim przesunął palce po brodzie i uśmiechnął się z zadowoleniem. Szedł pieszo a za nim podążali wszyscy jego podwładni: mężczyźni, kobiety i dzieci, śledząc ruchy woźnicy z równem zajęciem.

Ben-Hur, stanąwszy na obszernem i równem polu, rozpoczął ćwiczenia. Z początku jechał powoli, w prostych liniach, zawracając pod kątem; potem zakreślał koła wielkie, mniejsze i coraz mniejsze, przyspieszając ciągle kroku; skończył galopem. Po godzinie zaczął zwalniać bieg koni i stępo wrócił przed Ilderima.

— Próba skończona, pozostaje tylko nabycie wprawy — powiedział. — Winszuję ci, szeiku Ilderimie, że takie posiadasz konie. Patrz — dodał zsiadając — ani śladu potu na ich błyszczącym włosie; oddychają tak lekko, jak w chwili, gdym wyjeżdżał. Zapowiadam ci wielką radość, bo niepodobna, byśmy nie osiągnęli zwycięztwa i...

Tu przerwał, spłonął i skłonił się; teraz dopiero spostrzegł Baltazara, stojącego obok szeika i dwie niewiasty, owinięte zasłonami.

Ilderim dokończył za niego:

— Zwycięztwa i naszej zemsty! Nie! nie obawiam się niczego; radość moja jest zupełna. Synu Arriusa, jesteś tym mężem, jakiego pragnąłem. Jeśli koniec będzie podobny do tego, co zapowiada początek, poznasz, czem jest hojność Araba!

— Dzięki! — odrzekł Ben-Hur spokojnie. — Każ przynieść wody koniom.

Sam je napoił i wyruszył ponownie na pole ćwiczeń.

I znów rozpoczął krokiem powolnym, przyspieszał kłusa, galopa i wreszcie rozpuszczał konie w najszybszym biegu. Widowisko to podniecało coraz bardziej widzów. Podziwiano zręczny sposób kierowania i równy chód czterech biegunów. Podczas gdy wszyscy byli zajęci ćwiczeniami, Malluch zbliżył się nieznacznie do szeika i podał mu pismo.

— List od Simonidesa, kupca — przemówił. — Kazał cię pozdrowić imieniem Boga i oddać to pismo, które masz natychmiast odczytać.

Ilderim rozłamał pieczęć i wyjął z osłon cienkiego płótna dwa listy następujące.

I. *Simonides do szeika Ilderima.*

Przebywa u ciebie młodzieniec pięknej postaci, mianujący się synem Arriusa; jest on jego synem przybranym, a dla mnie bardzo drogim. Dziwne są jego dzieje! Przybądź do mnie dziś albo jutro, opowiem ci je i zasięgnę twej rady. Tymczasem spełniaj wszystkie jego życzenia, jeśli nie będą przeciwne cnocie. Straty, jakie przy tem poniesiesz, zwrócę ci z wdzięcznością. Zachowaj w tajemnicy uczucia moje dla tego młodzieńca.

Przypomnij mię też pamięci twego drugiego gościa. On, jego córka, ty sam i wszyscy, których zechcesz dopuścić do twego towarzystwa, mogą liczyć na mnie w cyrku, w dniu igrzysk. Miejsca są już zamówione.

Tobie i wszystkim twoim pokój.

Simonides.

II. *Simonides do szeika Ilderima.*

O przyjacielu! Słuchaj słowa przestrogi; przesyła ci je doświadczenie.

Prócz Rzymian, wszyscy ci, którzy posiadają pieniądz lub mienie, mogące uledz zrabowaniu, pilnie baczą na znak, uważany powszechnie za groźny: jest nim przybycie wyższego urzędnika rzymskiego. Dziś przybywa konsul Maxentiusz. Strzeż się!

Kto knuje zdradę przeciwko tobie, przyjacielu, musi zyskać współudział Herodów: wielkie twoje dobra leżą w ich państwie. Poślij natychmiast zaufanych, aby czuwali nad drogą z Antyochii ku południowi i pilne mieli oko na wszelkich gońców. Musisz znać pisma, dotyczące ciebie i spraw twoich Wczoraj jeszcze powinieneś był być o tem uprzedzony; ale nie jest dotąd zapóźno, jeśli zechcesz szybko działać.

Gdyby gońcy wyjechali dziś zrana z Antyochii, twoi ludzie znają krótsze drogi i mogą ich wyprzedzić. Nie wahaj się! Spal to pismo.

Simonides.

Ilderim przeczytał po dwakroć listy; obwinął je płótnami i włożył za pas. Ćwiczenia trwały jeszcze czas jakiś. Wkońcu Ben-Hur zwolnił bieg koni i przyprowadził je przed Ilderima.

— Pozwól, szeiku — rzekł — bym odprowadził twe rumaki do namiotu, a popołudniu znów je wywiodę.

Ilderim postąpił ku niemu.

— Weź je, synu Arriusa i czyń z nimi, co zechcesz aż do chwili igrzysk. Więcej sprawiłeś przez te dwie godziny, niż Rzymianin przez parę tygodni

sprawićby potrafił. Zwyciężymy, przysięgam na światło niebios, że zwyciężymy!

Ben-Hur pozostał przy koniach, póki ich nie opatrzono; poczem skąpał się w jeziorze, wdział znowu swój strój żdowski i wszedł z Malluchem do sadu.

Długo tam z sobą rozmawiali.

— Udaj się — rzekł Ben-Hur — do khanu przy moście Seleuckim i przynieś mi, jeśli można, dziś jeszcze, ze znanego ci ukrycia, część mojego mienia. Obawiam się jednak, dobry Malluchu, że za nadto cię obarczam...

Malluch żywo zaprzeczył.

— Dzięki ci — rzekł Ben-Hur — biorę cię za słowo, przez pamięć na to, żeśmy z jednego plemienia, a nieprzyjacielem naszym wspólnym — Rzymianin. Zwracam się do ciebie, boś człowiek obrotny, jakim szeik Ilderim być nie potrafi.

— Arabowie rzadko bywają takimi — odrzekł Malluch poważnie.

— Nie ujmuję im przebiegłości, Malluchu, nie zawadzi jednak czuwać nad nimi. Aby więc uniknąć wszelkiego podstępu lub przeszkód w sprawie wyścigów, uspokoiłbyś mię prawdziwie, udając się do zarządu cyrkowego i sprawdzając, czy szeik zastosował się do wszelkich prawideł. Gdybyś mógł dostać kopię przepisów, byłoby to rzeczą wielkiej wagi. Chciałbym wiedzieć, jakie barwy mam nosić i gdzie naznaczono mi miejsce; radbym być obok Messali. Jeśli można, postaraj się, by mnie umieszczono obok Rzymianina. Widziałem wczoraj, że Messala był dumny ze swego wozu, i słusznie. Czy nie mógłbyś więc pod pozorem zachwytu zbadać, o ile wóz ten jest lekkim? Chciałbym posiadać dokładne jego wymiary i znać jego ciężar. A jeśli to okaże się niemożebnem, musisz mi dostarczyć przynajmniej wymiaru wysokości jego osi. Rozumiesz mnie, Malluchu? Nie chcę, by Messala miał jakąkolwiek wyższość nademną. Nie dbam jednak o świetność zewnętrzną. Jeśli go pokonam, tem większą będzie jego hańba, a mój tryumf. Ale muszę wiedzieć, co mnie czeka.

— Rozumiem, rozumiem — odrzekł Malluch.— Może wystarczyłby sznur, spuszczony od środka osi do ziemi?

— Tak, i to jest ostatniem mojem życzeniem. Idźmy do namiotów.

Wracając, ujrzeli sługę napełniającego skórzane sakwy świeżem winem palmowem, którem się orzeźwili. Wkrótce potem Malluch udał się do miasta.

Podczas ich nieobecności wyjechał sługa Ilderima, niosąc rozkazy, zastosowane do rad Simonidesa. Był to Arab i nie miał żadnego pisma przy sobie.

3. Messala trzyma się na ostrożności.

Następnego dnia, około trzeciej, Ilderim wrócił do namiotów. — W chwili, gdy zsiadł z konia, podszedł ku niemu człowiek, należący do jego plemienia.

— O szeiku! Kazano mi oddać to pismo; masz je przeczytać natychmiast.

Ilderim obejrzał je uważnie. Pieczęć była złamana; na adresie wyczytał: »Do Valeriusa Gratusa w Cezarei«.

— Bodaj go zły duch porwał! — zaklął szeik, widząc, że list pisany jest po łacinie.

Z pismem arabskiem lub greckiem potrafiłby dać sobie rady; z tego mógł zaledwie wyczytać podpis. Pewną ręką wypisane było imię, na widok którego oczy szeika zabłysły.

— Messala! — zawołał i pragnąc coprędzej podzielić się tem z młodym swym przyjacielem, kazał go prosić natychmiast.

Lecz Ben-Hura nie było pod namiotem. Ujeżdżał w polu cudne arabczyki. Szeik włożył pismo za pas i dosiadł znowu konia. Zanim jednak miał czas ruszyć z miejsca, zbliżył się do niego jakiś nieznajomy.

— Szukam szeika Ilderima, zwanego Sprawiedliwym.

Strój i mowa zdradzały Rzymianina.

Stary Arab odpowiedział z godnością:

— Ją jestem szeik Ilderim.

— Słyszałem, iż potrzebujesz woźnicy na igrzyska — mówił nieznajomy z udaną pokorą w głosie.

Pod dużym białym wąsem usta Ilderima ułożyły się w pogardliwy uśmiech.

— Idź w swoją drogę! — rzekł. — Mam już woźnicę.

I zwracał już konia do odjazdu, gdy cudzoziemiec jeszcze zawołał:

— Szeiku! kocham konie nie mniej od ciebie a powiadają, że twoje są najpiękniejsze w świecie Pokaż mi je choćby.

Starzec, połechtany mile tem pochlebstwem, ściągnął cugle; przez chwilę zdawał się wahać, lecz przezorność wzięła górę nad próżnością.

— Nie, nie dziś. Pokażę ci je innego dnia. Dziś zbyt jestem zajęty! — rzekł oschle.

Ruszył ku polu. Nieznajomy wrócił do miasta. Zdawał się być zadowolony.

Odtąd codziennie, aż do dnia gonitw, to jeden, to dwóch, a czasem i trzech ludzi naraz przychodziło do szeikowego sadu. Każdy pytał, czy nie potrzebuje woźnicy.

W taki to sposób Messala miał na oku Ben-Hura.

4. Ilderim i Ben-Hur naradzają się.

Nazajutrz szeik i Ben-Hur zeszli się u drzwi namiotu, weszli i usiedli na sofie.

— Mam ci pokazać coś ważnego — rzekł Ilderim, wyjmując pismo z za pasa. — Synu Arriusa, patrz, i niech rozum twój oświeci moją nieświadomość.

Mówiąc to, szeik podał list Ben-Hurowi.

— Patrz i czytaj głośno, tłómacząc na mowę twych ojców ten nienawistny język.

Ben-Hur, zajęty wyłącznie myślą o gonitwach, wziął z roztargnieniem pergamin, lecz pierwsze zaraz słowa ściągnęły wszystką krew do jego serca. I nie dziw; na czele listu wypisane było »Messala do Gratusa«.

Ben-Hur począł czytać.

Pismo było odpisem listu, wysłanego przez Messalę.

Pierwsze słowa oprócz dowcipnych drwinek, nie zawierało nic szczególnego. Ale w miarę, jak młodzieniec czytał dalej, głos jego drżał, oczy zasuwały mu się mgłą. Musiał się zatrzymywać po dwakroć, aby odzyskać panowanie nad sobą.

Rozrządziłeś rodziną Hura w ten sposób — pisał Rzymianin — iż mogliśmy być pewni jej milczenia. Śmierć nieuchronna miała się stać jej udziałem.

Papier wypadł z ręki Ben-Hura.

— Więc one umarły!... umarły! — wołał, załamując ręce. — Zostałem sam na świecie!... Ach! po co?!...

Szeik patrzył nań ze współczuciem.

— Synu Arriusa — rzekł, powstając — wolisz zapewne, aby na boleść twoją nie patrzyło ludzkie oko. Odchodzę. Przeczytaj sam ten list. A gdy się uspokoisz, daj mi znać.

Po wyjściu jego Ben-Hur puścił wodze swej rozpaczy. Upłynęła długa chwila, zanim sobie przypomniał o niedoczytanym liście.

Wiadomo jest nam obu, jaki los spotkał matkę i siostrę zbrodniarza — pisał dalej Messala. — Lecz odtąd upłynęło lat wiele. Wiem, o mój Gratusie, że mi wybaczysz, gdy zapytam: czy nasze rachuby nas nie zawiodły? Żyją-li jeszcze, czy też pomarły już te kobiety?

W Ben-Hura poczynała wstępować nadzieja.

— Więc nie odebrano im życia? Niech imię Boga będzie błogosławione! Żyją! Muszę je odszukać!.. Nie, one nie umarły! — powtarzał sobie. — Gdyby tak było, Messala wiedziałby o tem!

Uspokojony nieco, posłał po szeika.

— Przekraczając próg gościnnego twego namiotu — mówił, gdy zasiedli znowu na sofie — nie zamierzałem ci mówić o sobie niczego więcej nad to, co miało ci dowieść, że konie twoje powierzyć mi możesz śmiało. Nie chciałem ci opowiadać mych dziejów. Teraz, gdy list ten doszedł do rąk twoich, powinieneś wiedzieć o wszystkiem, a to tem więcej, że, jak widzę, wspólny nieprzyjaciel grozi nam obu. Musimy połączyć przeciwko niemu nasze siły. Przeczytam ci to pismo, a jeśliś, patrząc na moje wzruszenie, myślał, żem słaby lub dziecinny, gdy złożę ten pergamin, inaczej o mnie sądzić będziesz.

Ben-Hur czytał, przekładając szeikowi pismo Messali.

Ten słuchał z uwagą, lecz ze spokojem, dopóki młodzieniec nie doszedł do następującego ustępu:

Widziałem go wczoraj w gaju Dafne; — pisał Rzymianin. — Przebywa, jeśli nie tam, to gdzieś w pobliżu, co mi ułatwia śledzenie. Gdybyś mnie pytał, gdzie go szukać, odpowiedziałbym ci: w starym gaju Palmowym.

— Oh! — zawołał Ilderim z trwogą.

W starym gaju Palmowym, pod namiotem tego zdrajcy, szeika Ilderima.

— Zdrajca! Ja?! — krzyknął starzec w najwyższem uniesieniu; drżał przytem na całem ciele, a żyły na czole jego nabrzmiały, jakby chcąc wydrzeć się przez skórę.

— Chwilę jeszcze szeiku — rzekł Ben Hur — takie jest zdanie o tobie, a taka jest jego groźba:

....tego zdrajcy szeika, który nie ujdzie rąk naszych. Nie dziw się, jeżeli pierwszym czynem Maxentiusza będzie wsadzenie Araba na okręt i odesłanie go do Rzymu.

— Do Rzymu? mnie? Ilderima! szeika! dowódcę dziesięciu tysięcy zbrojnego wojska?

Skoczył na równe nogi, jakby mu ubyło lat dwadzieścia; — palce skurczyły mu się jak szpony, a oczy błyszczały, jak u drapieżnego zwierza.

— Nie! na wszystkie bogi! przez bogów Rzymu! kiedyż będzie koniec temu zuchwalstwu?! Urodziłem się wolny i lud mój zrodzony jest w wolności. Czyż mamy umierać w niewoli? Czyż ja, szeik Ilderim, mam żyć jak pies, pełzając u nóg pana? Lizać rękę, co mnie chłoszcze? Własność moja nie jest moją? O, gdybym był młodym! Gdybym mógł zrzucić, jak niepotrzebny ciężar, lat dwadzieścia lub dziesięć, lub choćby lat pięć!...

Zgrzytał zębami, wznosił do góry ręce, jakby przyzywając stamtąd pomocy. Lecz nagle myśl nowa uderzyła go; przystąpił do Ben-Hura i porwawszy go za ramiona wołał:

— Gdybym był jak ty, synu Arriusa, młody, silny, tak wprawny w robieniu bronią; gdybym miał powód do zemsty, powód jak twój, wielki i święty! Synu Hura, powiadam!...

Na dźwięk tego imienia krew zastygła w żyłach młodzieńca. Patrzył osłupiały na błyszczące dziko oczy Araba.

— Synu Hura! gdybym był tobą, a doznał takich krzywd, nie mógłbym, nie ważyłbym się spocząć.

Starcowi brakło oddechu. Zatrzymał się, a po chwili wybuchnął z nową gwałtownością.

— Do wszystkich krzywd moich dodałbym krzywdy świata całego i dyszał jeno zemstą! Szedłbym od kraju do kraju, zapalając do niej narody. Nie byłoby walki o wolność, nie byłoby wojny z Rzymem, w którejbym nie brał udziału. I gdyby mnie ludzie słuchać nie chcieli... na Boga!... wyłbym z wilkami; lwów i tygrysów szukałbym przyjaźni! One pomogłyby mi rozszarpać wroga! Nie byłoby dla mnie broni dość ostrej, dość spiczastego łuku! Litościbym nie błagał, litościbym nie znał! W ogień, co rzymskie! pod miecz, co rzymskie! Nie mógłbym spać! Ja... ja...

Szeik urwał; zbrakło mu oddechu. Rzucał się jeszcze, łamał ręce. Ben Hur siedział, zatopiony we własnych myślach.

Z całego tego namiętnego wybuchu Ilderima pozostało mu tylko jedno wrażenie: Szeik nazwał go jego własnem imieniem. On jeden przynajmniej wiedział kim jest. Ale skąd on mógł o tem wiedzieć? Z listu? Nie. Pismo opowiadało wprawdzie o okrucieństwach, jakie spotkały jego rodzinę, opowiadało o własnej jego niedoli, lecz nie wymieniało, iż on to był właśnie ich ofiarą. Szeik domyślił się tego sam.

— Powiedz mi, czcigodny starcze — pytał Ben-Hur — jak doszedł cię ten list?

— Ludzie moi, co strzegą dróg między miastami, pismo to przejęli od gońca.

— Czy wiadomem jest, iż są to twoi ludzie?

— Nie. Dla Rzymu to rozbójnicy, których ma ścigać i tępić.

— Jedno jeszcze, szeiku. Nazwałeś mnie synem Hura. Nie sądziłem, aby ktokolwiek na ziemi znał jeszcze to imię. Powiedz, skąd jest ci ono wiadomem?

Ilderim zawahał się, lecz po chwili odrzekł:

— Dość o tem na teraz. Muszę jechać do miasta. Za powrotem pomówię z tobą otwarcie. Daj mi list.

Ilderim zwinął starannie papyrus i włożył go sobie za pas. Zabierał się już do wyjścia, lecz wrócił się od progu.

— Synu Hura — rzekł z wielką powagą — winien mi jesteś odpowiedź. Wiesz już, co uczyniłbym na twojem miejscu, lecz ja nie wiem, co ty zamierzasz uczynić?

Mówiąc to, patrzył na młodzieńca przenikliwie.

Potomek książęcego rodu nie zmieszał się tem spojrzeniem, przeciwnie, podniósł dumnie głowę.

— O tem wszystkiem, coś mi mówił, myślałem i ja, myślę ustawicznie. Przez pięć lat nie było godziny, abym nie knuł zemsty dla moich wrogów. Nie spocząłem ani na chwilę. Nie znałem, co młodość. Uciechy Rzymu były mi obce. Jam szukał w nim jeno narzędzi do mojej zemsty, szukałem mistrzów. Szeiku! jestem żołnierzem, lecz to mi nie wystarcza; dla osiągnięcia moich celów ja muszę być wodzem. Dlatego to biorę udział w wyprawie przeciwko Partom. Jeśli z niej powrócę cało, wtedy (podniósł zaciśnięte pięści) wtedy pokażę Rzymowi, jakiego wychował sobie wroga. — Życiem tysiąca Rzymian zapłacę mój rachunek. Oto moja odpowiedź, szeiku

Ilderim położył ręce na głowie młodzieńca, jakby błogosławiąc go w jego zamysłach.

— Pamiętaj! ja, całe moje mienie, ludzie, konie, wielbłądy i pustynia — wszystko to jest na twe rozkazy — wszystko służyć będzie twojej zemście! Przysięgam! A teraz żegnaj!... Przed wieczorem zobaczymy się.

I mówiąc to, wyszedł przed namiot, gdzie niewolnik trzymał już dla niego konia. Dosiadł go jak młodzieniec i zawróciwszy na miejscu, popędził drogą ku miastu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Polskie Towarzystwo emigracyjne.

Od wielu lat tysiące ludu tak polskiego jak ruskiego z Galicyi opuszcza ziemię ojczystą, dążąc to do Ameryki na stały pobyt lub na lat parę, to do Prus, Saksonii i innych krajów na wiosnę, lato i jesień do robót polnych. Z początku wysoką liczbą wychodźtwa polskiego przeraziło sie nasze społeczeństwo; w istocie, w niektórych okolicach opuszczenie wsi przez mnogie setki i tysiące rąk roboczych bardzo dotkliwie dawało się odczuwać, szczególnie podczas większych robót polnych, zwłaszcza zaś żniw. Powodem troski była dalej możliwość wynarodowienia naszych włościan w cudzych krajach, oraz obawa utraty wiary św. tam, gdzie wychodźcy pozbawieni byli kościoła i kapłana katolickiego. Wielu wychodźców, narażonych na wyzysk i oszukaństwo naganiaczy wychodźczych, zwłaszcza żydów i Niemców, często bez grosza przybywało do miejsca przeznaczenia, gdzie niestety pracy nie znajdowali. Liczne rzesze głodnych, pozbawionych wszelkich środków do życia nędzarzy, nieraz wracały o proszonym chlebie do kraju, tu zaś czekało ich gorsze jeszcze życie, niż przed odjazdem, do którego łotry ajenci ich zachęcali, bo nie mieli już ani ziemi, którą sprzedali przedtem, ani pieniędzy, które wydali w ciągu dalekiej podróży.



Ponieważ jeszcze uprawa roli u nas nie jest tak doskonałą, jak w innych krajach, gdzie ta sama ilość ziemi znacznie więcej ludzi wyżywić może, niż w naszym kraju, ponieważ dalej nie mamy tylu jeszcze fabryk, aby tysiące zdolnych do pracy ludzi, a na roli wyżyć nie mogących, utrzymać, rzecz prosta, że ze stałem wychodźtwem, zwłaszcza na roboty letnie, pogodzić się należało. Nie uczyniono jednak przez wiele lat nic prawie, aby ten odpływ ludzi z kraju miał jakąś opiekę, aby dopilnowano, czy chłop polski czy ruski, jedzie tylko tam, gdzie w istocie korzystną pracę znajduje, by wreszcie wychodźca grubych pieniędzy nie płacił za pośrednictwo nieuczciwym ajentom żydowskim czy pruskim.

Dopiero na wiosnę r. 1909 powstało w Krakowie Polskie Towarzystwo Emigracyjne, które postawiło sobie za cel spełnienie tych zadań wobec wyjeżdżającego za granicę ludu z Galicyi. Około założenia tego Towarzystwa, które po dwóch latch istnienia okazało się prawdziwem dobrodziejstwem dla wychodźców, oraz zakupienia dla niego kamienicy, największe zasługi położył poseł sejmowy Jan Hupka. Przejęty głęboką miłością ludu dzielny ten obywatel, po cichu, nie starając się o rozgłos, wielkie sumy pieniędzy poświęcił na ten cel i z pewnością stokroć lepiej tem się zasłużył, niż wielu nibyto opiekunów ludu, co tylko na wiecach siarczyste mowy wygłaszają w obronie chłopa, a gdy kandydują na posłów, to obiecują złote góry, na prawdę zaś lud tylko bałamucą.

Dzisiaj podajemy obrazek, przedstawiający kamienicę przy ulicy Radziwiłłowskiej nr. 21 w Krakowie, gdzie mieści się Towarzystwo Emigracyjne. W grudniu ubiegłego roku odbyło się jej poświęcenie. Dokonał go poseł ks. Kopyciński i wówczas bardzo liczni goście, posłowie sejmowi, urzędnicy, profesorowie, zwiedziwszy ten gmach, przekonali się, jak wszystko tam wygodnie dla wychodźców urządzone, jaki biedni ci ludzie, znękani podróżą, przytułek tam znaleźć mogą! Na dole mieści się szereg biur Towarzystwa: bezpłatne biuro pośrednictwa pracy ułatwia znalezienie roboty w kraju i za granicą; biuro sprzedaży kart okrętowych i bezpłatne biuro informacyjne w sprawach wychodźtwa zamorskiego, opiekuje się wychodźcami, udającymi się za morze, pouczając ich kiedy, jak i którędy jechać należy; tutaj mieści się także bezpłatne biuro porady prawnej itd. Obok biur znajdują pomieszczenie cztery jasne i obszerne poczekalnie dla wychodźców. W czasie zwiedzania gmachu mieli uczestnicy sposobność oglądać żywy obraz polskiego wychodźtwa: w jednej z poczekalń spoczywała partya wychodźców, na ławkach usiadło kilkadziesiąt osób obojga płci, między któremi zauważyć można było charakterystyczne stroje ruskich chłopów. Na półkach leżały sterty pakunków, tobołków i narzędzi robotników rolnych. Do emigrantów przemówił ks. Kopyciński, udzielając im błogosławieństwa na drogę. Na pierwszem i drugiem piętrze znajduje się 18 sypialń, w których mieści się 100 schludnych, czystych łóżek; urządzenie sypialń świadczy, że dbano w równej mierze o zdrowotność, jak i pewną wygodę podróżujących; obok sypialń urządzono ogromną umywalnię i łazienkę. Dom zakupiony został kosztem 132 tysięcy koron, a urządzony kosztem około 25 tysięcy koron.

Z całego serca życzyć należy obywatelskim duchem kierującemu się Towarzystwu Emigracyjnemu najpomyślniejszego rozwoju dla dobra naszych wychodźców. Pragnąć wszakże obok tego należy, aby z latami liczba opuszczających kraj się zmniejszyła, dzięki podniesieniu rolnictwa i powstawaniu fabryk i aby nie przypominały się już nam rzewne słowa poety: »O ziemio polska, tak bogata, że wykarmić mogłabyś pół świata — a dla własnych dzieci nie masz chleba!«

WIOSNA.

Witaj wiosno ukochana,
Wiosno polskiej ziemi!
Dusza patrzy, — krwią zalana —
Oczyma łzawemi

Na to słonko piękne, jasne,
Na te szumne lasy,
Na te pola nasze własne
Pełne kwietnej krasy,

I smutnieje, bo słyszała...
Że przed wiekiem z górą
Polska jeszcze oddechała,
Była wolną Córą.

A dziś chociaż wszystko wkoło
Ładne i nadobne,
To nam jakoś niewesoło,
Gdyż z dawnem niezgodne.

Wiosna płynie wciąż po wiośnie,
A my ciągle smutni,
O męczarniach coraz głośniej,
Wrogowie okrutni.

Kiedy przyjdziesz miła wiosno
Z oddechem radości?
Kiedy wskażesz nam radosną
Jutrzenkę wolności?

Józef Kobylański.

Gadka o wiośnie.

(Podanie ludowe).

Haj drzewiej nie takie jak dzisia, bywały zimy, bo jak ci święty Marcin zjechoł na siwym koniu i okrył ziemię śnigiem, niby całunem, to ci tak nieraz do św. Józefa ziemia ani nosa na słonko wyścibić nimogła, tak ci ją grubo okrył. Bywały tez to zimy bywały, że ani wyjrzyć na pole; takie mrozy wielkie były, ze się jeno iskrzył, a śniga beło po okna w chałupach, a wilki swoimi świcącemi ślipiami zaglądały co nocki do wsiów, upatrując psika lebo jaką inksą gadzinę na wiecerzę.

Roz ci takie okrutne zimy beły, a ludzie nic se z tego nie robili, jeno się wselako weselili bez zime, bo to i misopust w zimie przypado. Tak ludzie z wesela na wesele śli i tańcowali w gospodach. A był w tyn cos akuratnie taki długi misopust, jak latoś i ludziska się cały luty weselili.

Pan Bóg, jak zwykle, 24 lutego posłoł świętego Macieja na świat z wiosną, ale że wielko zima a droga daleko beła, tak i świętemu Maciejowi członki do krzty kostnieć poczęły. Idzie se i idzie, az natrafił na przydrozną gospodę i myśli se: — Cheba wlezę się ogrzać i podziwom sie, co tam chłopi w gospodzie robią.

Jesce się namyśloł, cy wliś do gospody, cy nie, ale go chłopi bez okno uźreli i wyśli po niego, pytając, coby z nimi wstąpił do gospody.

Święty Maciej się wypieroł, ze nimo casu, ale go chłopi pięknie pytać poceni i Maciej wkońcu wloz do gospody z nimi.

W gospodzie beło kupa chłopów i babów, bo to prawie się ostatki zacenały i ludziska się jesce chcieli przed popielcem wyskakać, a więc i muzyka tam beła.

Zawse się idzie do gospody z tom myślom, ze się zaroz wyjdzie, tak tez i św. Maciej myśloł, ale potem z gospody trudno wyjść, to się to i Maciejowi, choć świętemu, przytrefiło, bo skoro ludzie św. Macieja uwidzieli, tak go zaroz obstąpili i ten się pyto o tem, inny zaś o owym, trzeci znów co ta kady słychać, a św. Maciej jako Maciej zawse beł człowiek niehonorny i wdoł się z chłopami w rozmowe. Przegodali jeden dzień potem drugi, a ludzie się ciesyli w gospodzie; kie ostatki to ostatki.

Nareście św. Maciej se myśli:

— Cheba nie pójde jesce z wiosną, kie sie ludzie tak ciesą, to się niech ciesą, kie sie im w zimie dobrze powodzi.

Przesedł luty, nastoł post, a ludzie poczęli Pana Boga prosić o wiosnę, bo im bida w poście poczęła do zywego doskwirać. Pan Bóg, jako ojciec, zawse swe dzieci wysłucho, tak i w ten cos posłoł św. Józefa w połowie marca z wiosną.

Idzie se św. Józef, idzie na ziemię a śnieg poza niem wsędy taje. Jak przysedł akuratnie przed te gospode, co w ni świenty Maciej siedzioł, myśli se:

— Cheba wstąpie do gospody, bo haj naprzód jesce wielkie śniegi, to trzeba w gospodzie odpocząć i zanocować.

Jak pomyśloł, tak zrobił i wloz do gospody, a tu Maciej se siedzi z chłopami i gadają se razem. Jak chłopi zobacyli świentego Józefa, tak zaroz obskocyli i posadzili ku Maciejowi za stół, coby se spocął, a potem sie go znów pytają o różne rzecy, a najbardziej jako i kady co stawiać, a świenty Józef, człowiek ludzki i z ciesiołką dobrze obeznany, każdemu dorodzoł i nimóg się znowu nijak z tej gospody wykręcić.

Marzec sie już skończył, nastoł kwiecień, a tu na ziemi co nocy mrozy ogromne i zima jesce panuje a wiosny jak nima tak nima. Tak ludzie ino prosą i prosą Pana Boga, zeby się zlitował i wiosnę spuścił na ziemię.

A beło juz całkiem pół kwietnia uleciało, a tu na ziemi jesce nic nie rosło, bo prawdziwej wiosny nie beło, akuratnie tak, jak latoś. A ze ludzie juz nie mieli co gadzinie dawać, tak poczęli ją głodem morzyć. Pan Bóg się sam dziwił, że juz dwóch świętych z wiosną posłoł, a tu ludzie bez przestanku o wiosnę prosą. Tak wzion dobrze nie dobrze i posłoł świętego Wojciecha, biskupa, z laską pasterską na ziemię, aby św. Macieja i Józefa odsukoł, bo się im pewnikiem coś niedobrego przytrafiło, skoro nie wrócili, a wiosny na cały świat nie roznieśli.

Idzie se święty Wojciech po świecie i patrzy wkoło, czy kady znaku po Macieju albo po Józefie nie zostało, ale nika nie mógł spenetrować. Gdy tak juz daleko zased, az przysed ku tej gospodzie, co to w ni św. Maciej i św. Józef siedział, tak ci tam kupa luda beło i myśli se św. Wojciech:

— Cheba, ze tam siedzom ci moi koledzy, i wloz do karcmy.

Jak Maciej i Józef uźreli św. Wojciecha, tak bardzo się zestrachowali i zacęli na chłopów winę zwalować, że ich chłopi nie chcieli puścić. Ale św. Wojciech nic nie godoł, jeno im loskom pogroził i do pola z gospody wygnoł, aby śli tam kady się zabrali.

No wiecie moi ludzie, jak tez ci wszyscy trzej wyszli z tej gospody a rusyli z wiosną po świecie, a zacęła się wiosna robić, to ci na migu śniegi stopniały, takie wielkie ciepło się zrobiło, a ptoki zaraz śpiwać zacęły i ludzie za trzy dni gadzinę na pole wygnali, bo i trowy w ocach rosły.

A i teraz pewnikiem św. Maciej z św. Józefem do gospody wstąpili, ale ich św. Wojciech laskom na pewno z gospody wyzenie.

Gadka to ino gadka, ale ze uciesna, tośmy ją opedzieli, ale temu wiary nie trza dawać, bo gdzieby ta święci po gospodach, choćby katolickich łazili. Ino se to dokumentnie trzeba spenetrować, ze wszyćko złe, jakie jest na świecie, dzieje się bez karcmy.

Karol Baron.

Do wiosny.

My ciebie nazywamy odrodzeniem świata,
O ty piękna i hojna! ty królowo nasza!
Z twem przybyciem z serc naszych hymn radości [wzlata...
Łza wdzięczności ku Stwórcy oczy nasze zrasza.
Ty wonna i wspaniała! wskrzeszasz raj swem [tchnieniem!
I miliony wdzięków rozsiewasz w przestworze.
Gdy królujesz pod jasnem lazurów sklepieniem,
To wszędzie skarbów, darów rozlewasz wszechmorze!
Więc wiosno! o dziewico! w cudne strojna szaty!
Tyś serc, tyś i dusz naszych życiem, odrodzeniem!
Tyś luba jak młodości mej rozkoszne laty!
Rządź, króluj, jak najdłużej! powróć raj swem [tchnieniem!

Teofil Tryczyński.

CZEŚĆ BOHATEROWI!



Rok 1807... Potężny Napoleon wyprawił swe wojska na podbój Hiszpanii. Wśród tych wojsk, pułki polskie, złożone z ochotników, którzy dobrowolnie stanęli pod sztandarami francuskimi w nadziei, że one potem, po podbiciu całej Europy, ruszą do Polski, aby stamtąd wrogów wypędzić. W 2-gim pułku ułanów, jako podoficer, służył Karol Rymsza, dwudziestoletni chłopak, który porzucił dom rodzinny na Litwie i bił się jak lew w wielu potyczkach w Niemczech, we Włoszech. Wraz z pułkiem poszedł do Hiszpanii. Nad rzeką Tudelą pułk dokonał sławnego ataku na kawaleryę hiszpańską. On ze swoimi kilkunastu ludźmi wbił się pędem w sam środek nieprzyjacielskiej linii i przełamał ją. Ale przelał krew za swoje bohaterstwo, padł raniony od szabli w kilkunastu miejscach! Po bitwie znaleziono jego ciało i towarzysze broni odnoszą go do lazaretu polnego, pod opieką siostry miłosierdzia. Po drodze smutny orszak spotkał się ze sztabem głównym. Generałowie dopytawszy się kogo to niosą, zatrzymali konie i składają cześć bohaterowi, dzięki któremu wygrano bitwę...

Dzisiaj — a dawniej...

Przódzi lepiej bywało — to niema godki. Inaksze wszędy po wsiach było życie, inakszą chłop miał fantazyją! Turbacyje nawiedzały poniektórego człeka, a juści; to młodą babę pochował, to dziecka już duże, co przy gospodarstwie by się ojcom duchem przydały, Pan Jezus zabrał, to suszę okrutną i nieurodzaj na pola spuścił — ale jakoś raźniej się żyło, ochota w młodych kipiała, a jak przyszły święta, abo weselisko, to się naród radował aże hej!

Przódzi wsioski człek, coby prawdę rzec, to był piękniejszy, jak dzisia. Widzi mi się, co i dzieuch po naszych wsiach więcej było takich, jako te jabłuszka rumiane w sadzie na jesieni... Może ino tak mi się teraz zdaje, że sam już za dzieuchami nie gonię, bo juści nie moja to sprawa, kiej wnęcki wrzeszczą mi za uszyma: dziadusiu! dziadusiu! Ale że chłopaków coraz mniej śmigłych, postawnych, rażnych, co to jednaka ochota w nich gra i do bitki i do dzieuchy i do roboty — tego mi pewnikiem już nikto nie zaprze. A kto wie, czy naród, nie widzi się brzydszy bez to, co przestał się już ubierać po naszemu?... Dzisiaj, na ten przykład, po wsiach za Podgórzem, to nie uświadczysz chłopa, coby wyglądał jak chłop: każdy prawy Miemiec, abo robotnik miejski. Jak to to idzie białymi gościeńcami w niedzielę na sumę, zda się człeku zdaleka, co czarne robactwo ozlazło się po dródze, nie katolicki naród. Ino ich baby ustrojone kraso wśród tego robactwa suną tak, kiejby żywe kwiecie toczyło się po gościeńcu z tymi chłopami wraz...

Dziękować Panu Jezusowi, co u nas, na lewej stronie Wisły, po krakowskich wsiach, jeszcze biała sukmana i kierezyja się ostały, i czapka z pawiem piórem. A nasze kobiety skoro się ustroją na niedzielę, to myślę se zawdy, co nikaj takich bab i dzieuch na świecie nie znajdzie. I choć to może grzych, ale trefi mi się i dziś jeszcze kiejniebądź taką urodziwą młódkę ułapić bez pół i ogniście pocałować

w gębę! Ale nie bez to, cobym się do dziewek zaliczał, chociem od dwóch roków gdowiec i na upartego tobym jeszcze babę brać mógł, ino co nasz chłopski naród z duszy serca nawidzę, a okrutnie to już ten najmłodszy przychowek...

Rózia od Ziętary od Franka, dzieucha jak malwa, zawdy się w takim przypadku niby obruszy i peda:

— Ej, Jacenty! rabuśnik z was i grzyśnik okrutny, choć już osiem krzyżyków na grzbiecie wam siedzi!

A ja jej na to:

— Nie wydziwiaj mi od ośmi krzyżyków, bo dwaścia roków mi do nich potrza, a krzepkim gdowiec i ociec mi cię w te razy dadzą, skorobym ino chciał!

A gdy odeńdzie, to kiejby za dzieckiem rodzonem krzyżyk za jej głową zrobię i westchnę do Boga, coby jej dobrą dolę zesłał...

. . . .

Nie do krzty może dzisiaj najgorzej, skoro są jeszcze takie Rózie, takie gospodynie, jak u nas Godulina, chłopy stare a łebskie, jak Krzęciosz i parobki setne, jak nie chwalący się mój Antek, Wicek i najmłodszy Szymuś. Ale śtyrdzieści roków temu, kiejem sam parobkiem był, to młodzi byli inaksi.

Na ten przykład śmigust. Dzisia obleją kiejniebądź dzieuchę przy studni z drzewianej sikawki, śmiguśnicy wlezą do chałupy, żeby im co dać, chodzi i para »dziadów«, ale z tej breweryji, z tej okrutnej ochoty, co przódzi, to ani znaku.

Ja moją nieborzyczkę bez to, co na drugim końcu wsi ojcowie jej siedzieli, hen, u samych granic, tom prawie że nie znał, choć gospodarska była córka i gront za nią się patrzał. Nie widziała mi się ni taka urodziwa, ni przyścipna, jaka po prawdzie była. Aże dopiero, jagem w śmigustny poniedziałek zakradł się rano pod ich chałupę i uźrał ją w złociuśkiem słonku na progu białej jak śnieg chałupy z konewkami w rękach, jakisi gorąc buchnął mi w piersiach do góry i mówię se w duchu: Rety! adyć muszę ją na ślubną babę dostać, choćby sam jancykryst na swoich kozich rogach miał na dródze bez całą wieś tańcować.

Alem śmigustu nie poniechał. A ona w progu stoi — obziera się — nikogo. Przyszły jej do fartucha kury, gdaczą, przekrzywiają łby, pozierają, czy nie sypnie ziarna — a ona nic, ino dalej patrzy; juści boi się podrywki, czy ktosi schowany w krzakach za płotem nie chluśnie na nią wodą, gdy się nabliży. Ale naostatek zeszła z progu i idzie szerokiem obejściem w dół, do studni. Spuszcza duchem wiadro, spieszy się, bo chłopak może w te pędy skądeś wypaść — ciągnie pełne w górę, nalewa do jednej konewki, potem do drugiej. A ja jak nie hycnę bez płot — potem trzy susy do studni! Już mam w garści konewkę, i już moja Maryś cała, od głowy do pięt mokrzuśka, jak ta kokoszka na ulewnym deszczu! Ale zanimem gębę ozwarł, coby się naśmiać ze śpasu, rety! — jak ci dzieucha buchnie na mnie wodą z drugiej konewki!... A z taką mocą prosto w oczy, w szyję, w piersi, aże mnie cofło w tył! Straśnie mi się od onego śmigustu Marysia udała! Po Zielonych Świątkach była już moją babą.

Takie to przódzi śpasy się wyprawowało w poniedziałek śmigustny; raźniej było na świecie dookoła, na naszych rolach, łąkach, pod niskimi pułapami naszych białych chałup! — Zda się, że słonko nawet jaśniej nam przyświecało...

Edm. Zechenter.

Gawędy o Różnych Sprawach.

Rewolucya o wino.

Prawie każdy człowiek słyszał o głośnem winie szampańskiem, nie wszyscy je pili, lecz wszyscy wiedzą, że jest to dobre wino, musujące a przedewszystkiem z tego znane, że bardzo drogie. Wyrabiają je dotąd w jednej okolicy Francyi, zwanej Szampanią. Ta okolica nie może już nastarczyć tego wina na cały szeroki świat, więc sprowadza w ogromnej ilości wina z innych okolic Francyi i u siebie przerabia na szampan, bo innym tego czynić nie wolno. Z tego powodu zazdroszczą te kraje i mówią: my mamy takie dobre wino jak w Szampanii, jeżeli tam wolno wyrabiać z obcego wina szampan, to przedewszystkiem nam wolno z naszego to samo czynić — i żądają, aby wszystkim krajom wolno było wyrabiać szampan, albo też przynajmniej niektórym z nich, bliższym Szampanii. Na to nie chce się zgodzić Szampania, bo wie, że jak tylko inne kraje będą mogły także wyrabiać szampana, to on bardzo potanieje i dotychczasowi fabrykanci jego nie będą mogli ciągnąć tak wielkich zysków. Na wieść, że może do tego dojść, winiarze szampańscy urządzili zeszłego tygodnia taką rewolucyę, że na cały świat o niej głośno. Naprzód rozruchy powstały we wsiach Damery i Dizy, gdzie tłum zniszczył wszelkie zapasy szampana tych fabryk, które były podejrzane, że wyrabiają szampana z wina sprowadzanego. W jednej wielkiej fabryce, Castellane, winiarze zniszczyli 230.000 flaszek szampana, wino wypuszczono do przykop tak, że miejscami ludzie brodzili w niem po kolana. Zmobilizowano wszystkie okoliczne garnizony, aby przeszkodzić dalszym rozruchom. Ale nadaremnie. Na drugi dzień tłum kilku tysięcy winiarzy w innej wsi zniszczył cztery składy wina szampańskiego tak, że zalało ulice i prawie całą wieś. Z beczek ustawiono barykady, połamano wozy, którymi przewożono to wino i zniszczono biura a księgi handlowe popalono. Następnie tłum uderzył na fabrykę firmy Sothier. Wojsko, które przybyło, tłum obrzucił kamieniami, jednak wkońcu ono zdołało przywrócić spokój, przyczem kilkadziesiąt osób odniosło rany od kopyt końskich. — Lecz nie koniec na tem. O zmroku na wielu wzgórzach ukazały się rakiety. Był to znak umówiony, że winiarze mają się zbierać po wsiach i iść na inną miejscowość Ay. Zniszczono piwnice w miasteczku Penteuil, to znów podpalono dwie fabryki szampana. Gdy nastała noc, widać było ogromne łuny w wielu miejscowościach. Następnie w nocy podpalono dalsze pięć fabryk i piwnice splondrowano. W środku miasta Ay wybuchnęła bomba, która zabiła trzech żołnierzy. Wogóle co się działo owej nocy w mieście Ay, to robiło wrażenie końca świata. Obliczają, że w tem jednem mieście zniszczono wówczas milion litrów szampana.

Równocześnie w mieście Epernay rozgrywały się podobne sceny. Winiarze uzbrojeni w strzelby, kosy i grube kije wtargnęli do miasta. Dwie fabryki szampana padły ofiarą pierwszego ataku. Gdy ukazała się kawalerya zbudowano barykady. Część winiarzy splondrowała fabryki, a część za miasem podpalała owinięte w słomę krzaki winogronowe. W ten sposób zniszczono kilkanaście hektarów winnic.

W piątek ubiegły tłum zbuntowanych winiarzy udał się w pochód do wielkiego miasta Reims; wysłane dwa pułki żołnierzy ledwo ich zdołały powstrzymać. Wogóle przeciwko rewolucyonistom zmobilizowano dotąd 16.000 żołnierzy. Szkoda, jaką spowodowali rewolucyoniści, wynosi wiele milionów koron i potrzeba będzie wiele pracy, nim się ją wynagrodzi.

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

(Ciąg dalszy).

Skoro Zachar z izby atamana wyszedł, na progu stanęła Naścia. Weszła nieśmiało... z pod oka na swego pana spoglądając, znać było, że coś ma do powiedzenia. Hriszka milczał, na żonę ani spojrzał, ino sapał, pomlaskując chwilami. Odważyła się wreszcie, w głowę podrapała.

— Batka, a czemu ty dida precz wygnał?

— Co ty pleciesz, babo? — fuknął niechętnie Hriszka. — Jabym dida wyganiać miał?

— Nie gadkęm sprawiła, serdeczny, prawdęm powiedziała, szczerą prawdę. Didaś wygnał rodzonego swego. Toć to grzech wielki.

— A tobie dziś co?— przerwał ataman — tobie co do łba strzeliło?

— Och, serdeczny — założywszy ręce wynurzała się Naścia. — Coby mi strzelić miało? Serce mi się ścisnęło, gdym dida ani ugościć nie mogła, ani dobrego słowa od niego zyskać...

— Spokój mi daj, wiedźmo, z oczu zejdź! — obruszył się ataman.

Nastka snać na upór wzięła, pogróżkę mimo uszu puściła i znowu się ozwała.

— Hriszka, ach Hriszka, opamiętać byś się mógł już raz! Czas jest,.. Do wszystkie gość strach i serce stracił. Ani tobie Bóg miły, ani ojciec rodzony, ani zbawienie duszy grzesznej...

— Precz idź, powiadam! — zakrzyknął ataman zniecierpliwiony. — Rozumu ucz kogo innego a nie mnie. Baba jesteś, głupia baba!

— Nie śmiej się, nie śmiej, batka. Tobie śmiech u mnie... żal jakiś serce chwyta, żal tak wielki, że czasem ledwie nie buchnę płaczem.



...otoczywszy, szarpali nielitościwie...

— Płacz babski toć zwyczajna rzecz.

Westchnęła Nastka. Umilkła.

— Ostap zaprzepaścił się gdzieś — rzekła po chwili. — Czyś ty, batka, gdzie go wysłał?

— Ostap? — rzekł, podnosząc się Hriszka z leży. — Zaprzepaścił się, powiadasz?

— Czwarty dzień go nie widać.

— Hm... czwarty dzień?... — powtórzył ataman. — Gdzieżby on się podział? Jam go nie posyłał nigdzie.

— Et! — dodał wnet uspokojony. — Znudziło się chłopcu siedzieć, to i przewietrzyć się zechciał. Pojechał gdzie, przyjedzie.

Chciała jeszcze coś mówić kobiecina, ale Hriszka jej nie dał. Ku drzwiom pchnął, dodając sprośne przekleństwo. Wszakże udzielona przez żonę wiadomość tknęła go.

Nagłe zniknięcie Ostapa, jego nieobecność czterodniowa wydały się atamanowi niezwykłemi. Wyjeżdżał on wprawdzie kiedy niekiedy, gdy się w pobliżu miasteczka jakiego znajdowali, aliści wracał niebawem.

Nie mogąc sam dostatecznego tłómaczenia w tej kwestyi wyszukać, udał się Hriszka do Batoha.

— Widziałeś Ostapa? — zagabnął go zgóry. — Cztery dni go już niema. Nie wiem, gdzieby mógł jechać?

Zamyślił się Batoh..

— I ja bodaj dni cztery nie widziałem — rzekł. — Hm... cztery dni..

— Gdzieżby go czort zaniósł?

Obadwaj patrzyli na siebie, stojąc z rękoma w tył założonemi. Znać było po twarzach, że pracowali myślą. Jeden i drugi czoło namarszczył, usta odął. Wreszcie Batoh ozwał się pierwszy.

— Skoro pojechał to i wróci.

— I ja tak mówię, ale gdzieżby pojechać mógł?

— Gdzie? — ruszając ramionami odparł Batoh. — Młodemu cały świat na ścieżaj otwarty. Ot i Maksym wyjechał... i Naczajenko też i Miszka... i Kraśczak... Pojechali... zabawią się trochę i wrócą.

— On z nimi jeździł?

— Nie wiem, może i z nimi. Co mnie do tego gdzie jadą? Nie moje prawo ich pytać.

— Znaczy, że się chłopcom przykrzy w jednem miejscu wciąż.

— I nietylko im — potwierdził Batoh. — Ja sam nie wiem, co mam robić z nudy. Każdemu się uprzykrzy.

— Prawda twoja — mruknął Hriszka. — Za długo siedzimy w tej dziurze... Byłby czas już przejehać się może.

— Wiadoma rzecz, że czas. Siedzimy tu, siedzimy, ledwie że do ziemi nie przyrastając, jak grzyby... A powiadam tobie, Hriszko, to nie dobrze.

— Jakto niedobrze?

— Sameś powinien wiedzieć, chłopcom się to uprzykrzy, taj gotowi się porozłazić. Bacz na to.

Hriszka się roześmiał.

— Dałżebym ja im! Nie śmieliby!

— Oh! cóżbyś dał? Poszliby precz, samego zostawili. Eh, Hriszka, ty Hriszka!... atamanem każesz się zwać a głowę masz... do niczego — rzekł Batoh z politowaniem. — Dlaczegoby nie śmieli? Albož nad nimi taką władzę masz? Tyś nie hetman, jeno z nazwy ataman, a twoje atamaństwo całe grosza nie warte. Chłopcy póty twoi, póki im roboty nastręczasz. Nie dasz im sposobności do niej, pluną na ciebie i precz pójdą.

Nic na to nie odparł Hriszka, sposępniał więcej, zagryzł wąsów, wzrok opuściwszy na ziemię. — Rozmowę przerwały krzyki głośne, śmiechy i nawoływania.

— A tam co znowu? — szepnął ataman, patrząc w stronę, gdzie się on hałas wszczął.

— Pewnie sobie zalali pałki i tak bardzo weselą się.

Nie to jednak było powodem krzyków, od strony wschodniej lasu gromada hajdamaków prowa-

dziła kogoś snać pochwyconego. Hriszka z Batohem zbliżyli się do tłumu.

— Zdrowo chłopcy! — przemówił pierwszy.

— *Sława Bohu!* — odkrzyknęli.

— Wesoło wam, widzę?

— Wesoło atamanie. Jakże bo się nie weselić, skoro gościa mamy — ozwał się jeden.

— I jakiego gościa! — dorzucił drugi.

— Zabawić zię z nim można.

— *Żid! żid!...* niewierny! — dorzuciły wesołe głosy.

Wtedy dopiero Hriszka dostrzegł wśród tłumu skurczoną postać, w której poznał odrazu Judę.

Juda, broniąc się hajdamakom, którzy go ze wszech stron otoczywszy, szarpali nielitościwie, obsypując najróżnorodniejszemi drwinami, zrazu nie zauważył atamana. Kręcił się, jak mucha w ukropie, bronił, zasłaniał, wrzeszcząc a odgrażając.

— Chłopcy, puśćcie go — zawołał Hriszka. — Żyda tego znam, on nasz.

— Kosooki! — krzyknął Juda na cały głos.— Odegnaj precz tych psów... Gotowi mnie zagryźć żywcem.

— Masz psa! — na to jeden z tłumu, uderzając Judę pięścią po grzbiecie, aż się ugiął.

— Dosyć, chłopcy! — powtórzył Hriszka. — Żyda puścić.

Usłuchano rozkazu atamana.

— Co ty tu robisz? — zapytał Hriszka Judę, prowadząc ku chacie. — Skądeś się tu wziął?

— Oh! Bodaj was! — klął żyd, stękając. — Was wszystkich na jednej gałęzi obwiesić.

— Zadali ci strachu? co? — śmiał się Hriszka.

— Strachu? Bezbronnego człowieka męczyć? Co ja im? Sam do ciebie jechałem, a oni...

— Sameś jechał? — zaciekawiony spytał Hriszka.

Żyd spojrzał mu w oczy i splunął.

— Alboż ty nie wiesz? Nie tyś nasłał na mnie zbója? Nie ty? Kazałeś mu sam, aby mnie pochwycił, odebrał to, za com zapłacił — i zamordował.... Nie wiesz?

Hriszka do Batoha się zwrócił.

— Batoh? żyd ten szalony!

— Szalony?! — przerwał Juda w pasyi ostatniej. — Szalonym mnie nazywasz, atamanie ty zbójecki! Ja sam siebie tak nazwać powinienem, szalony byłem, rękę ci podając. Szalony, kiedym ci na stole czerwieńce liczył, kiedym ci wierzył...

Słuchał Hriszka tych wyrzutów osłupiały, to co żyd gadał nie mogło mu się w głowie pomieścić.

— Tfy... oszalała bestya! — rzekł, żegnając się. — Plecie nie do rzeczy.... Czego ty odemnie chcesz?

— Laszkę oddaj! — zawołał, wytchnąwszy nieco Juda. — Wszakżem ci za nią wyliczył? Przywiozłeś ją do mnie sam, zgodziliśmy się, ona moja.

— Nu, któż powiada, że nie twoja? Sprzedałem i rzecz ukończona. Albożem ci jej w ręce nie oddał?

— Oddał, oddał i nasłałeś potem łotra, aby mi ją odebrał — rzucił się Juda.

Hriszkę krzyki żydowskie zniecierpliwiły!

— Wyraźnie powiedz, co do mnie masz? Czego chcesz? Ja o niczem nie wiem. Laszka twoja, bom ci ją sam zaprzedał. Przeczyć ci ani myślę.

— Więc mi ją oddaj! — przerwał mu Juda.

— Albożem ci jej nie przywiózł? Do rąk samemu oddałem, ot Batoh świadkiem.

Milczący dotąd hajdamak szarpnął Hriszkę, na bok go odsunął i szepnął na ucho.

— Wiesz ty, gdzie Ostap się wybrał?

— Co mi Ostap — skrzywił się Hriszka — żyda z karku muszę się pozbyć i dowiedzieć czego chce.

— Nu, a posłuchaj wprzód, co powiem: Ostap żydowi Laszkę odebrał.

Po czole się uderzył ataman.

— Odebrał — kończył Batoh. — Wywiedz się i wypytaj.

Wiadomość ta zastanowiła atamana, pokręcił głową ze zdziwienia, cmoknął ustami. Po niejakim czasie zdołał uspokoić zrozpaczonego Judę i wywiedzieć się o przygodzie, jaka go spotkała.

Gdy Juda, historyę swojej przygody skończywszy, w największym zapale dopominał się o zwrot Laszki, ataman wybuchł serdecznym śmiechem — w czem dopomagał mu również szczerze Batoh. — Żyd umilkł, wyczerpawszy na razie materyał słów, jakie mu pamięć dostarczała.

— To on! — wołał, śmiechem przerywając, Hriszka. — Chłopiec spisał się dzielnie.

— Ja bom się odrazu domyślił... — wtórował Batoh.

— Śmiejcie się, śmiejcie! weselcie moją krzywdą — krzyknął żyd nagle. — Aaa, Kosooki, nie spodziewałem się po tobie niepoczciwości podobnej.

— Któż ci winien? Sameś sobie.

— Jakto sam sobie? Ja? Ja?

— Mogłeś ją pilnować. Wiedz o tem, że to nie moja sprawa. Jam ci ją sprzedał i odbierać anim myślał...

— Nie żartuj Hriszka, ja wiem, że ty żartujesz tylko. Oddasz mi ją? Prawda? Oddasz?

Wymawiał się Hriszka, tłómaczył, przysięgał, jako porwaniu sprzedanej winny nie jest, atoli nic to nie pomagało. Żyd przy swojem stał uparcie. Doprowadzony wreszcie do ostateczności, nie miarkując słów, wystąpił z pogróżkami.

— Ty mi ją oddać musisz — krzyknął. — Musisz oddać! słyszysz, Kosooki. Ona moja, sam to przyznajesz. Więc oddaj! Po dobrej woli oddaj! Radzę ci dobrze, Kosooki. Ty wiesz, co ja mogę. Oddasz, dopłacę jeszcze, a nie, źle z tobą będzie. Bardzo źle! Ja żyd, prosty żyd, ale mogę wiele, o!

— Ho! ho! a cóżbyś ty mi zrobić mógł? — splunął Hriszka pogardliwie. — Idź precz.

— Pójdę ja, pójdę — wrzeszczał ochryple żyd — ale popamiętasz mnie, rabusiu jeden! Powiadasz, że Juda nic zrobić nie może? Ano, obaczymy! Ja prosty żyd, stary, ale język mam. Naprowadzę ci na kark takich gości, jakich ani się spodziewasz, dopiero wtedy poznasz, czy Juda nic ci zrobić nie może.

Mówił to żyd bez myśli, zaślepiony stratą. Groził tylko, w głowie mu bowiem podobny zamiar nie postał. Hriszka i Batoh zaś inaczej tę kwestyę wzięli.

Skoro Juda, odgrażając się wciąż, odchodzić już miał, obadwaj hajdamacy zmierzyli się wzrokiem, poszeptali, poczem ataman huknął donośnie.

— Chłopcy, tu do mnie!

Wnet nadbiegli hajdamacy, którzy opodal stojąc, ciekawie przypatrywali się całej scenie. Ataman wskazał im żyda, następnie rękę do góry podniósł, wskazując gałęź tuż rosnącego drzewa.

Wrzask się rozległ wesoły; zanim się zdołał opamiętać zacietrzewiony skąpiec, rzucili się na niego hajdamacy, zarzucili powróz na szyję.

Po niejakimś czasie na scenie dramatu pozostało ciało żyda Judy, kołyszące się wysoko ponad ziemią...

(Ciąg dalszy nastąpi).



A bo to myślicie, ze poseł to znowu taka wielga rzec! Bele jakim posłem to nie štuka być i taką rzec, toby potrafili i moja gospodyni, bo oni pyskować na ludzi okrutecnie potrafią, a nie idzie jem o to, cy mają o co, cy ni mają. Ale dobrem posłem być, to rzec wielga, ciężka i odpowiedzialna przed Panem Bogiem i ludźmi.

Jak się kandyduje na złego posła, to ja wam to dokumentnie opowiem, bo mi o tem padali mój gospodarz, którzy się na wszyćkiem rozumią, ino się na gospodyni nie rozeznali.

Otóż jak chcecie kandydować na złego posła, to musicie jeździć od wsi do wsi, na wszyćkich psy wisać, a ino siebie i takich, jak wy sami chwalić. Jak się drugich gani, to to ludziska okropnie lubią i nawet takiemu Paduchowi wierzą. Trza przytem ludziom ogromnie dużo różnych dobrości obiecywać, bo to przecie nic nie kostuje, a ludziska tak obiecanki-cacanki lubią, ze idą na nie, jak pijak na wódkę i ani się, bracie, obeźrys, jak złapies głosy pościwych wyborców. Im więcy obiecujes, choćby to były takie rzecy, ze się sam z nich w garść śmiejes, to nic nie skodzi, bo ludzie to lubią.

A co? skłamałem, jagem pedzioł, ze na takiego posła, toby moja gospodyni w sam raz pasowała? Przecie oni mi nieraz różne różności najślicniejse obiecowali — i jajeśnicę, i kluski, i kiełbasę, a jak przysło co do cego, to juści... dali mi na murku!

Tak samo, jak moja gospodyni, robią i te wszyćkie kandydaty, które ludziskom gruski na wirzbie obiecują, a jak przyjdzie co do cego, to im figę pokazują i kuniec.

Nieuściwym posłem to nie štuka być, ale uściwemu człekowi to trudniej do takiego honoru przyjść. Cłek uściwy, nie przymirzając, jak mój gospodarz, to nie lubią obiecywać, bo padają: »lepiej nie obiecywać a zrobić — niż obiecywać a nie zrobić«. Cłek uściwy nie obiecuje grusek na wirzbie, ani w poście wielkanocnej kiełbasy, który potem nie da, ale pada ludziom, co on zrobił, jakby tę a tę rzec należało zrobić, zeby ona korzyść nietylko gospodarzowi, ale i takiemu Maćkowi przyniesła a nawet la gospodyni nie była nieprześpiecną. Ale takiego cłeka to ludziska nie kcom słuchać, bo nie głaska ich bolącek, ino prawdę rznie prosto z mostu.

I ja tez kandyduje, ale zem cłek uściwy, to wam nic nie obiecuję, ale jak mnie wybierzecie, to zniese piekło a na ziemi raj zrobię, a kuzdemu z moich wyborców milion śrybłem wypłacę i zrobię, ze codzień na obiad i na wiecerzę będzie miał kluski, jajeśnicę i kiełbasę. A jesce jedno: uchwalę se taką galantną ustawę, aby wszyćkie gospodynie wygonić tam, gdzie pieprz rośnie, bo bez nich to niebyłoby nijakiego cięzaru na świecie, a ludzie i takby sobie dali radę.

Z TYGODNIA.

Rocznica śmierci ś. p. Andrzeja hr. Potockiego. Dnia 12 b. m., jako w trzecią rocznicę śmierci namiestnika Andrzeja Potockiego, którą poniósł ten znakomity obywatel kraju z ręki Rusina Siczyńskiego, odbyło się w kościele w Krzeszowicach nabożeństwo żałobne. Mszę św. żałobną odprawił proboszcz krzeszowicki ks. Ślosarczyk; obecni byli oprócz wdowy i dzieci i licznych rodzin, spokrewnionych z domem Potockich, przedstawiciele władz i obywatelstwo z Krakowa, wielu włościan z Krzeszowic, Tenczynka i okolicy, oficyaliści z dóbr Potockich, straże ogniowe, górnicy, przedstawiciele rady gminnej z Krzeszowic i wiele publiczności. Tegoż samego dnia w przepełnionym kościele OO. Kapucynów w Krakowie, odbyło się również nabożeństwo żałobne za ś. p. Andrzeja hr. Potockiego.

Rocznica śmierci ś. p. Andrzeja Potockiego upamiętnioną też została trwałem i z ducha chrześcijańskiego powstałem dziełem. Oto dnia 19 b. m. otwarto u Sióstr Miłosierdzia w Łobzowie zakład wychowawczy dla osieroconych dziewcząt. Pieniądze, w sumie 200.000 koron na ten zakład złożył lekarz krakowski Dr. Mikołaj Buzdygan, przyjaciel ś. p. Andrzeja hr. Potockiego, człowiek wielkiego serca i współczucia dla nędzy i niedoli sierót. Zakład ten będzie w imię Boże spełniał bardzo ważne i doniosłe zadanie, bo wiele opuszczonych, pozbawionych rodziców dziewcząt, któreby zeszły na najgorszą drogę, uratuje dla uczciwego i pracowitego życia. Na razie do zakładu przyjęto już 20 dziewcząt.

Kontyngent rekruta. Ponieważ niema parlamentu, a tylko jemu wolno uchwalać kontyngent rekruta, przeto cesarz na podstawie § 14 zarządził, że bieżącego roku ma być asenterowanych w całej monarchii austryacko-węgierskiej 103.000 rekrutów dla armii i marynarki. Z tej liczby przypada na Austryę 59.027 żołnierzy, zaś reszta na Węgry. Dla obrony krajowej cesarz rozporządził zaasenterować 19.240 rekrutów.

Spiski studentów ruskich. Dzienniki donoszą, że władze szkolne we Lwowie wpadły na ślad rozległej agitacyi za tem, aby młodzież ruska urządziła wielką demonstracyę na cześć Siczyńskiego, który zamordował najdzielniejszego i najlepszego naszego namiestnika, ś. p. Andrzeja hr. Potockiego. Rusini muszą już być bardzo niemoralni i zepsuci do gruntu, jeżeli za taki czyn nazywają Siczyńskiego bohaterem. Demonstracya ta miałaby być urządzona w rocznicę zgonu Potockiego t. j. dnia 12 kwietnia b. r., ale ją zdołano udaremnić.

Agitatorzy ruscy rozrzucili wśród młodzieży ruskiej odezwy, w których twierdzili, że z takim chytrym wrogiem, jak Polacy, to tylko rewolwerem trzeba się rozprawiać. I z tego widać, jak nisko upadają Rusini, co to wyrośnie na przyszłość z tej młodzieży, którą agitatorowie tak podburzają, psują i zatruwają jej krew.

„Wisła“. Dnia 8 b. m. odbyło się walne zgromadzenie Delegatów Tow. wzajemnych ubezpieczeń »Wisła« we Lwowie, przy licznym udziale delegatów z całego kraju. Ważnych polic wydała »Wisła« w roku 1910 sztuk 18.884 a razem z policami ważnymi z r. 1909 sztuk 28.529 na ubezpieczoną wartość kor. 32,162 316. — Tytułem opłat za ubezpieczenie zebrano kor. 267.623 h. 83, szkód wypłacono na kwotę kor. 85.400 h. 52, czyli niecałe 30 proc. od zaliczki. Jest to wynik bardzo korzystny, zwłaszcza że rok zeszły nie był dla Towarzystw asekucyjnych pomyślnym a dowodzi, że ryzyka »Wisły« są porozrzucane i że znalazła ona przychylne przy-

jęcie nietylko w pewnych okolicach, lecz w całym kraju. Jako dodatni objaw należy podnieść obniżenie kosztów administracyjnych mimo prawie że podwojenie agend Towarzystwa, to też »Wisła« zamknęła rok 1910 wcale pokaźnym zyskiem, wynoszącym koron 48.774 h. 29 a jest nadzieja, że przy ostrużnej i oszczędnej gospodarce będzie szła ustawicznie naprzód tak, że już obecnie można jej prorokować pomyślną przyszłość. »Wisła« pozostała wierną swemu założeniu i spełnia sumiennie zadanie szerzenia idei asekuracyjnej wśród szerokich mas ludu. Jej członkowie bowiem, to przeważnie tacy, którzy dotąd nie byli jeszcze nigdzie ubezpieczeni a zaledwo 30 proc. przypada na ubezpieczenia z innych Towarzystw i to przeważnie obcych. Cieszy nas, że »Wisła nie prowadzi walki konkurencyjnej z zasłużoną dla kraju »Floryanką«, gdyż obie te instytucye mogą zupełnie dobrze istnieć obok siebie, bez potrzeby wzajemnego zwalczania się, coby tylko wykorzystali dla siebie wrogowie naszego narodu.

Prześladowanie księży w Rosyi. Wielkie wrażenie uczyniło wydalenie przed kilku dniami z państwa rosyjskiego duchownych katolickich Poków, ks. Feliksa Wiercińskiego i Karola Indricha i usunięcie ks. Wasilewskiego za to, że rzekomo mieli rozszerzać wśród Rosyan schizmatyków prawdziwą wiarę katolicką. Rzeczywiście od jakiegoś czasu coraz więcej schizmatyków rosyjskich nawraca się na wiarę katolicką a to bardzo niepokoi rząd rosyjski, który chwyta się wszelkich środków, aby tępić katolicyzm, gdzie się tylko pojawi. Ale złośliwa ręka ludzka nie przeszkodzi spełnieniu się słów Chrystusa Pana, że wkońcu wszyscy się nawrócą do prawdziwego Boga i będzie jeden pasterz i jedna owczarnia.

Posiadłości Anglii. Anglia jest państwem, które włada największą liczbą ludności świata i posiada największe obszary ziemi we wszystkich częściach świata. I tak zawładnęła całą Australią, która jest prawie tak wielka jak Europa, ma najwięcej posiadłości w Afryce, w Ameryce i w Azyi. W samych Indyach w Azyi, które są pod panowaniem angielskiem, jest przeszło 200 milionów ludności. I śmiech powiedzieć, że nad tą ogromną masą ludności panuje Anglia za pomocą zaledwie kilkudziesięciu żołnierzy. Że zaś panuje, to tylko dzięki ciemnocie mieszkańców tego bogatego kraju, bo przecież 200 milionów ludności, gdyby się tylko otrząsnęło, toby już Anglików tam nie było i gdyby krajowcy tych kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy tylko czapkami swemi zarzucili, toby się z tej masy czapek nie mogli wygrzebać i podusiliby się.

Indowie mają o kilkadziesiąt lat starszą od naszej historyę i prawdopodobnie cała biała rasa od nich pochodzi, ale nasza kultura, mimo że krócej istnieje, jest wyższą. Hindusi jednak coraz więcej mądrzeją i sami Anglicy nie ukrywają tego, że im coraz trudniej przychodzi panowanie nad Hindusami. Niedawno temu Hindusi napadli w Assan, w Indyach, na angielską ekspedycyę i wymordowali dwóch angielskich urzędników i 40 żołnierzy, zaledwie kilku żołnierzy mogło się uratować ucieczką. Dotąd Anglia rządzi tak potężnym krajem tylko przez to, że stara się, aby tam rozmaite szczepy żyły ze sobą w ustawicznej niezgodzie, nadto zabrała do wojska kilka tysięcy Hindusów, którzy, wychowani w karności, nieraz na angielski rozkaz zwracają swą broń nawet przeciw swemu ludowi. Anglia chce zawzięcie bronić tego ogromnego kraju, bo jest bardzo urodzajny i bogaty i czerpie z niego i z tubylców grube miliony.

KRONIKA.

Serdeczne podziękowanie składa Redakcya »Roli« wszystkim swoim Kochanym Czytelnikom, którzy nadesłali nam życzenia świąteczne. Nadeszło ich tak wiele, że nie sposób dziękować każdemu z osobna. Cieszymy się tym dowodem życzliwości, widząc, że nasze starania jednają nam coraz więcej przyjaciół, zadowolonych z naszej pracy dla oświaty ludu. Będziemy się starali, aby odwdzięczyć się za to jak najbardziej zajmującą i pouczającą gazetką. Wszystkim gorące »Bóg zapłać!«

Otwarcie Czytelni w Kleczy Dolnej. W bieżącym miesiącu odbyło się w Kleczy Dolnej, koło Wadowic, otwarcie Czytelni i biblioteki Tow. Szkoły Ludowej. Uroczystość w pięknej sali nowego budynku szkolnego zagaił ks. kanonik Żyła. Przemawiali następnie inni goście z Krakowa; gorąco i z uznaniem przyjęto wykład p. J. Szymańskiego o konieczności walki z pijaństwem. Uroczystość zakończyły obrazy świetlne z widokami miast polskich nad Wisłą. W sprawie nadmiernej ilości karczem i szynków w tej okolicy ma być niebawem urządzony w Kleczy wiec, na który zapewne tłumnie pospieszą tamtejsi włościanie. Oby wiec ten przyczynił się do przetrzebienia szynków, będących tak wielkiem nieszczęściem naszego ludu!

Pożary. (T. W.) Dnia 12 kwietnia br. we wsi Wróblówce, w powiecie nowotarskim, wybuchł przed południem o godz. 9 pożar, który zniszczył około 20 domów i zabudowań gospodarczych. Pożar powstał wskutek nieostrożności małego chłopaka, który w nieobecności rodziców palił papierosy w zabudowaniach gospodarczych i ogień się dostał do jakiejś słomy. Pożar był bardzo gwałtowny i wskutek wielkiego wiatru przerzucał ogień na odległe domy. — Dzięki bardzo licznej straży pożarnej z Czarnego Dunajca, Nowego Targu i innych miejscowości, które przybyły na miejsce pożaru z sikawkami, nie dopuszczono do szerenia się ognia dalej. Szkoda nie była ubezpieczona. Biedni ludzie zostali bez dachu i chleba, w nędzy wielkiej.

(J. T.) Dnia 9 kwietnia o godz. 7½ wieczór wybuchł nagle pożar w Międzyrzeczu górnem, na Śląsku, u Jerzego Fuksa i spalił się budynek mieszkalny, stajnia i stodoła. Ruchomości uratowano, gdyż z izb mieszkalnych wyniesiono wszystko, oprócz tego na powale była silna polepa, bydło wszystko na czas popuszczano, ale spaliło się to co było na strychu: pasza dla bydła i mięso. — Ogień powstał wskutek nieostrożnego obchodzenia się ze światłem. Straże pożarne były cztery z okolicy, więc ogień został w krótkim czasie ugaszony.

(F. K.) Dnia 11 kwietnia b. r. o godz. 8 wieczór wybuchł w Polskiej Lutyni, na Śląsku, pożar. Pastwą płomieni padł dom wraz ze stodołą, budynki drewniane pokryte słomą. Z płomieni zdołano uratować zaledwie sprzęty, znajdujące się w izbie. Na strychu zgorzało wszystko. Ogień został prawdopodobnie podłożony, gdyż oba budynki wraz poczęły płonąć. Podejrzewają o to niejakiego chłopca 12-letniego, syna komornika, pijanicy. Chłopcu temu brakuje rozumu, dlatego. włóczy się po domach. W niedzielę poszedł ten chłopiec do Opołki, właściciela tego domu i chciał tam przenocować, lecz Opołka, mając liczną rodzinę, wypędził tego chłopaka, a ten mu odpowiedział: »Skoro ja tu nie mogę nocować, to i wy tu długo mieszkać nie będziecie!« W naszej wsi jest więcej podobnych chłopaków, był już w więzieniu za podpalenie, lecz go wypuszczono i dotąd wałęsa się po okolicznych wsiach i rozbija

się. I to ma być chłopiec niby wychowany. Rodzice może spodziewają się od niego pomocy na starość, le z zobaczą: »Jaka praca, taki plon — jaki ojciec, taki syn«.

„Chłopska Macierz rolnicza“. Pod tą nazwą powstało stowarzyszenie, którego zadaniem jest wydawanie książeczek, zawierających wiadomości rolnicze. Obecnie wyszła z druku pierwsza książeczka p. t.: »Nowe odmiany ziemniaków«.

Dzieci bez dozoru. W tych dniach w Wiedniu żona pewnego rzemieślnika wyszła do miasta, zostawiając w mieszkaniu troje dzieci. Kiedy wróciła, brakowało najmłodszego, trzechletniego chłopca. Gdy się starszego zapytała, ten klaszcząc w ręce zawołał: »Schowany! niech mama szuka!« Daremnie matka wołała po imieniu. Nareszcie starszy pokazał jej kryjówkę: wielką szufladę komody, skąd wydobyła już tylko trupa. Dzieci bawiły się »w chowankę« i tak nieszczęśliwie najmłodszego schowały, że biedak się udusił.

Fatalna jazda. Doprawdy, że zawsze jazda bywa fatalna, gdy człowiek okowitą pałkę zaleje. Czasem kończy się na wywróceniu wozu do rowu, na złamaniu dyszla, czasem jednak skutki bywają daleko gorsze. Niejaki Iwan Hafijczuk, wieśniak z Kuczurmare na Bukowinie, wiózł ubiegłej zimy z Czerniowiec na ogromnych saniach kufę okowity, a powożąc usiadł sobie na wierzchu beczki. Sanie, jak i u nas często bywa, były nieokute, zataczały się więc jak pijane z jednego boku gościńca na drugi, a chłop nietylko wódkę miał pod sobą, ale sporo i w sobie, bo dla rozgrzewki raz po raz wstępował na półkwatereczki do karczem.



W pewnem miejscu, gdzie droga była spadzista, Hafijczuk zjeżdżał tak nieostrożnie, że sanie nagle się wywróciły, a beczka całym ciężarem przygniotła nieszczęśliwego tak, iż na miejscu ducha wyzionął. Tę okropną chwilę przedstawia nasz obrazek.

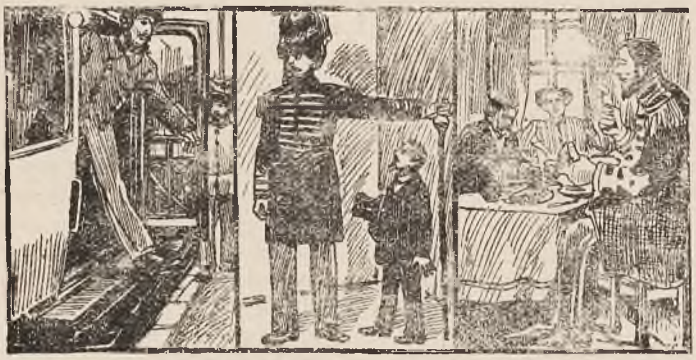
Śmierć pod kołami pociągu. Znowu robotnik kolejowy stał się ofiarą swego ciężkiego i niebezpiecznego zajęcia. W wielką środę na dworcu kolejowym w Krakowie około godz. 5 popołudniu robotnik Jan Machłowski z Zabierzowa przykręcał rozluźnione śruby, przytrzymujące szyny. Naraz od strony Kocmyrzowa najechał na niego pociąg towarowy i Machłowski dostał się pod koła lokomotywy. Te w oka mgnieniu odcięły mu obie nogi powyżej kolan, poczem tym samym torem przejechało jeszcze kilkadziesiąt wagonów towarowych. Wreszcie zauważono leżącego przy torze w kałuży krwi człowieka. Posłano zaraz po lekarskie pogotowie ratunkowe, zanim jednak pomoc przybyła, nieszczęsny z upływu krwi wyzionął ducha, osierocając żonę i czworo dzieci. Powodem strasznego wypadku było to, że maszynista prowadzący pociąg nie zauważył pracującego na torze robotnika, ten zaś nie odwrócił się, sądząc zapewne, że pociąg nadjeżdżający z tyłu na inny tor wjedzie.

Obrabowanie cudownego obrazu Matki Boskiej. Jeszcze naród polski nie zapomniał i nie przebolał zuchwałego świętokradztwa na Jasnej Górze w Częstochowie, a oto w wielki tydzień, w nocy na wielki czwartek, nieznany sprawca dopuścił się znowu świętokradztwa na cudami słynącym obrazie Najśw. Panny w Gostyniu, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Złodziej zabrał górną część złotej sukienki, wysadzanej drogimi kamieniami, oraz koronę. Widocznie podczas ohydnej kradzieży został czemś spłoszony, gdyż pozostawił drogocenniejszą część sukienki, a tuż obok znaleziono różne narzędzia, któremi się posługiwał. Nazajutrz rano kościelny znalazł bramę kościoła otwartą, zatem złodziej otworzył ją poprzednio wytrychem. Prawdopodobnie, że jakiś czas przed spełnieniem zbrodni ukryty był w ambonie, gdyż znaleziono ją otwartą, a zawsze jest zamykana. Nie ulega wątpliwości, że świętokradca był dobrze obznajomiony ze stosunkami, gdyż tylko taki mógł dotrzeć do obrazu, co dla obcego byłoby bardzo trudnem. Gdy rozeszła się wieść o zbrodni, zawiadomiono natychmiast władze, które energicznie zabrały się do tropienia złodzieja czy złodziei. Sprowadzono nawet psa policyjnego z pobliskiego Jarocina, ale ten nie mógł wpaść na ślad złoczyńcy. — Przypuszczają, że jest nim były zakrystyan kościoła w Gostyniu, który przedtem tam się wałęsał a niedawno temu wyjechał. Wiadomość o świętokradztwie wywarła wielkie przygnębienie wśród katolików w Gostyniu i okolicy. Nabożny lud spieszy tłumnie do kościoła i modli się gorąco, bolejąc nad zniewagą, wyrządzoną cudownemu obrazowi. W drugie święto Wielkanocy odbyła się w kościele gostyńskim uroczysta suma z kazaniem i wystawieniem Najśw. Sakramentu na przebłaganie Boga za ohydną zbrodnię.

Rabunek 47 tysięcy rubli. Mimo stosowania srogich kar, bandyci grasują dalej w Królestwie Polskiem. W zeszłym tygodniu na gościńcu publicznym, niedaleko miasta Kalisza, dokonali niesłychanie zuchwałego napadu. Banda, złożona z ośmiu do dziesięciu młodych ludzi, przyzwoicie ubranych, zatrzymała wóz pocztowy, będący pod strażą żandarmów i strażników, zastąpiwszy pojazdowi drogę i strzelając z rewolwerów. Następnie jeden z bandytów rzucił bombę o wielkiej sile wybuchowej. Skutek wybuchu był okropny: dwóch strażników i żandarm zostali zabici na miejscu, woźnica i urzędnik pocztowy odnieśli ciężkie rany. Wóz pocztowy siłą wybuchu został rozbity w kawałki, konie zabite. Zbrodniarze zabrali bez przeszkody wszystkie pieniądze i umknęli. Zasadzkę zbójecką urządzili zręcznie, bo wypadli z lasku, gdzie droga szła pod górę i wóz musiał jechać wolno. Po wypadku przybył zaraz na miejsce gubernator kaliski,. a w pościg za łotrami wysłano oddział konnych strażników, oraz szwadron dragonów. Na razie pościg okazał się bezskutecznym; nie znaleziono zbrodniarzy. Dopiero w parę dni władze policyjne we Wrocławiu, w Prusiech, schwytały niedaleko granicy rosyjskiej kilku sprawców napadu i odebrano od nich część zrabowanych pieniędzy. Za kilka dni znowu aresztowano resztę bandytów. Wskazał ich pewien żyd, od którego wynajęli bryczkę do ucieczki.

Rosyjski wielkolud. Coraz mniej widać już między nami ludzi niezwykłego wzrostu; zdarzają się jednak tacy w Polsce, na Litwie, w Rosyi, w Prusiech i innych krajach. Prusacy są dużego wzrostu; wojsko pruskie chlubi się tem, natrząsając się z Francuzów, którzy naogół są mniejsi. To samo powiedzieć można o Rosyanach, z niektórych zwłaszcza gubernij. Gdy się zanosiło na wojnę między

Rosyą a Japonią, rosyjscy oficerowie przechwalali się, że zgniotą Japończyków bardzo łatwo, którzy, jako ludzie rasy żółtej, są — jak wiadomo — bardzo niskiego wzrostu. Niestety, przechwałki się nie sprawdziły. Duża nawet siła poszczególnego żołnierza rosyjskiego wobec malutkiego japońskiego niewiele zaważyła; w teraźniejszych bowiem wojnach nie siła i wzrost żołnierzy stanowią o wygranej, lecz uzbrojenie, mądrze ułożone plany przez jenerałów, sprawność pułków, wyćwiczenie w strzelaniu itp. Smutno się też dla Rosyi ta wojna zakończyła; wielkoludów Moskali pobili maleńcy żółci Japończycy, znakomici i odważni żołnierze, ginący z radością za ojczyznę, a w sztuce wojennej tak wyćwiczeni, że najlepszym armiom europejskim dorównali, a kto wie, czy ich nawet nie przewyższyli.



Obrazek nasz przedstawia wielkoluda, oficera rosyjskiego. Jest on prawie dwa razy większy od człowieka średniego wzrostu, co widać na środkowym obrazku, przedstawiającym go stojąco, oraz na drugim, gdzie wyobrażony jest w restauracyi, przy stole w towarzystwie innych gości. W istocie musi budzić podziw taki olbrzym, gdy siedzi nad talerzem i je: bochenek chleba prawie że schowa mu się w garści, talerz dłonią nakryje, a gdy wstanie, to stół ma równo z kolanami! Dorożkami krytemi, tj. karetkami, jeździć nie może, boby się do żadnej nie zmieścił, a jak mu trudno wyjść z wagonu kolejowego, to widzą czytelnicy na trzecim obrazku po lewej stronie. Dotąd, jak gazety rosyjskie donoszą, jegomość ten, lat trzydziestu kilku, nie ożenił się, choć jest i przystojny i zamożny. Do której tylko panny zwrócił się z oświadczynami, ta, przejęta strachem, ani słyszeć nie chciała o małżeństwie. Można mieć jednak nadzieję, że wreszcie trafi na swoją; może córka jakiego milionera amerykańskiego, dowiedziawszy się o nim, przyjedzie do Rosyi i oświadczy się olbrzymowi. Te panny bowiem od dawna już zadziwiają świat niezwykłymi wybrykami.

Gwiazdy spadające. W zeszłym tygodniu wśród mieszkańców wyspy Sycylii, należącej do Włoch, wielkie przerażenie wywołało niezwykłe zjawisko. Pewnego dnia około godz. 7 wieczorem ukazało się na niebie jasne światło i równocześnie usłyszano jakby kilka potężnych wystrzałów armatnich. Sądzono, że nastąpił wybuch w prochowniach wojskowych, tymczasem okazało się, że były to gwiazdy spadające, tak zwane meteorolity, t. j. do białości rozżarzone kruszce i kamienie, które z podniebnych światów się oderwały i wpadły w morze. Stąd pochodził huk, podobny do wybuchu. W tamtych okolicach między 14 a 28 kwietnia najczęściej pokazują się takie gwiazdy spadające.

Człowiek o trzech płucach. Natura miewa czasem dziwne wybryki: rodzą się ludzie o jednej nodze, bez obu rąk, czasem bez oczu i nosa, czasem dwoje bliźniąt zrośniętych itp. Teraz donoszą gazety angielskie, że przy sądowej obdukcyi zwłok pewnego zmarłego nagle mieszkańca Londynu, przekonali się lekarze, krając trupa, iż człowiek ten posiadał aż trzy płuca. Podobno jest to pierwszy wypadek na świecie, znany dotąd uczonym; ludzie bowiem mają zawsze dwoje płuc.

Powódź piwa. W Brukseli, wskutek przeciążenia, zawalił się w tych dnich kilkupiętrowy skład piwa. Z ogromnych beczek popłynęły strumienie piwa, ku wielkiemu strapieniu miłośników tego trunku, którego zmarnowało się w rynsztokach ulicznych podobno około 750.000 litrów.

Nieludzcy synowie. W pewnej wsi pod Klermon we Francyi, dwaj synowie małżonków Murange, liczący 19 i 22 lat, nie chcąc żywić sędziwych rodziców, wypędzili ich z domu, a gdy starcy chcieli na noc powrócić do swego pokoju, nieludzcy synowie poranili ich wystrzałami ze strzelby. Oburzeni sąsiedzi chcieli się zabrać i ukarać niegodziwców na miejscu, ci jednak zabarykadowali się w domu i bronili przystępu do niego ze strzelbami w ręku. Wreszcie przybyła żandarmerya i oddaliła wprawdzie oburzonych sąsiadów, ale wyrodnych synów odstawiła do sądu, który wymierzy im zasłużoną karę.

Parasole z okienkami. Niezwykłego tego wynalazku dokonali oczywiście Anglicy, którzy słyną z nieprawdopodobnych nieraz konceptów. Parasole takie mają nietylko ochraniać od deszczu, ale umożliwiać, zwłaszcza starym i zwolna wlokącym się jegomościom na ulicach wielkich miast, spoglądanie przez owe okienka z przejrzystej materyi na wszystkie strony. Na takich przechodniów w istocie na każdym kroku czyha niebezpieczeństwo przejechania czy to przez wóz tramwajowy, czy pędzący szybko samochód, których tysiące jeździ już po dużych miastach. Może i do nas zawędrują takie parasole.

Ciepła jałmużna. Anglia jest krajem, gdzie do dziś dnia utrzymało się mnóstwo zwyczajów, których początki giną w zamierzchłej przeszłości. Na naszej rycinie widzimy jeden z takich tradycyjnych zwyczajów, który pochodzi z wieku XVIII. Weszło wówczas w modę rozrzucać po polowaniu pieniądze. Odbywało się to w ten sposób, że drobną zdawkową monetę rozgrzewano prawie do czerwoności na ogniu i rozrzucano ją między tłum. Spadające rozgrzane monety chwytali zbiegający się ludzie, ponieważ zaś pieniądze piekły w palce, więc puszczali je czemprędzej, co tak bawiło bogatych Anglików, że zwyczaj ten zachował się do dziś.



Dziś jednak obyczaje złagodniały i nikt religijny a oświecony nie urządza takich zabaw, któreby bliźniemu sprawiały cierpienie i ból. To też i w tym razie, zachowując stary obyczaj, właściciele zamku nie rozpiekają pieniędzy do czerwoności, tylko lekko je rozgrzewają i rozsypują pomiędzy biedaków, którzy na oznaczony dzień licznie się zbierają z całej okolicy. Jest to zatem tylko tak niezwykły sposób rozdawania jałmużny.

Użyjcie, jeżeli jesteście zakatarzeni, zachrypnięci, zaflegmieni i ciężko oddechacie, fluidu Fellera z marką „Elsafluid“; — My się sami przekonaliśmy o jego skutku leczniczym, uspokajającym kaszel, orzeźwiającym, przy bólu piersi, szyi etc. Próbny tuzin 5 kor. dwa tuziny 8 kor. 60 h. franko. Wytwórcą jest tylko aptekarz F. V. Feller w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260. Kroacya.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Józef Kulka w B.: Nie zawsze umieszczamy rozwiązania wierszem, gdyż brak na to miejsca. — Jan Szybowski w D. i Jan Urban w D.: Numerów z I. kwartału już nie posiadamy, a więc macie Panowie zapłaconą »Rolę« do 1 kwietnia 1912 r. — Józef Waszek w J: Zagadka bez rozwiązania, a szkoda, bo możeby dobra była. — Michał Pałac w O.: Wiersz wielkanocny przyszedł zapóźno. Na przyszłość utwory okolicznościowe trzeba znacznie wcześniej nadsyłać. — Józef Wiącek w S.: Nie potrzeba zwracać, ale można dać znajomemu. — Michał Stożek w Z.: Zagadka zbyt znana. — Franciszek Wolf z P. L.: Listy, choćby niezaklejone, należy opłacać 10 h.: — Arkadyusz Szarek w S. W.: Wiersz dobry, ale przyszedł zapóźno. Numera wysłaliśmy, więc powinien Pan był je otrzymać. — Anna Wojnarowska w Ch.: Maciek za piękny i obszerny list dziękuje. — Wojciech Szocik w D. M.: Ależ to już było drukowane: takich rzeczy nam nie trzeba. — Wojciech Sendyk w P.: Numerów z pierwszego kwartału już nie posiadamy. — Adam Jesionek w Ch.: Wiersz otrzymaliśmy — dziękujemy. — Karol Baron w P.: Dziękujemy i prosimy o więcej. — Jan Płodzień w Ch.: »O skąpej kumie« otrzymaliśmy. — Jan Głowacz w Ż.: Zagadki otrzymaliśmy — dobre; tak samo dawniejsze. — Jęgrzej Czarnik w Rz.: Każdy powinien pracować dla dobra publicznego. I Pańska praca nie pójdzie na marne. — Michał Radwański w R.: Wszystko otrzymaliśmy. — Władysław Biedroń w P.: Im kto więcej nadsyła, tem prędzej prace swe w druku zobaczy. Prosimy o cierpliwość. — Zygmunt Bogdański w J.: Dziękujemy. — Wojciech Tylka: Owszem, liczymy dobrze. — »Bolesław« w Ż.: Wierszyk dobry, umieścimy. — Józef Pyka w B.: Wysyłamy najregularniej i już w piątek zawsze być powinna. Nr. 15 zareklamowaliśmy na poczcie, a jak to nie poskutkuje, prosimy nam donieść, a udamy się do Dyrekcyi poczt we Lwowie. — Robert Szewieczek w D.: Wiersz jeszcze za słaby, zaś »Bogaty skąpiec« lepsze, chociaż nie nowe, wydrukujemy. Do konkursów czas przez cały rok, więc prosimy przysyłać. — Ks. Prałat W. Siedlecki w M.: Zastosujemy się z całą przyjemnością do życzenia. — Franciszek Banaś w H.: Do niesumiennego kupca piszemy, aby pieniądze zwrócił. Jeśliby tego nie uczynił, trzeba go będzie poprostu podać do sądu, tylko muszą być świadkowie, którzy byli obecni przy odpakowaniu towaru i potwierdzą, że nie było tyle, ile obiecał kupiec.

Potwierdzenia prenumeraty:

Jan Sekula z G. (3 K.), Michał Zabijak z B (1 K.), Tomasz Małek z J. (2 K.), Bargiel Michał z S. Cz. (1 K.), Wołoszyn Jan z N. (1 K.), Sendyk Wojciech z P. (2 K.), Huk Józef z D. (3 K.), Franc. Ulman z G. (4 K.), Zenon Burzyński z D. (2 K.), Wojciech Szurlej z L. (3 K.), Józef Miętus z C. (4 K.), Józef Jakubowski z B. (3 K.) Jan Szybowski z D. (4 K.), Jan Uran z D. (4 K.), Ludwik Trojnar z S. (6 K.), Jan Radoń z W. (2 K.), Jan Kłapsia z O. (2 K.), Emil Cholewa z K. (2 K.(, Tyc Antoni z Z. (3 K.), Bolesław z Z. (1 K.), Wrona Piotr z B. (1 K.), Suski Piotr z B. (1 K.), Muszczek Jan z B. (1 K.), Baranowski Karol z B. (2 K.), Franc. Znamirowski z B. (3 K.), Michał Talaga z S. (3 K.), Mikołaj Malarz z N. (3 K.), Antoni Gąsior z K. (1 K.), Józef Uhera z S. D. (1 K.), Karol Idec z D. (1 K.), Kółko rolnicze z B (4 K.), Michał Gryga z B. (2 K.), August Piwowarczyk z B. (2 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 18 kwietnia:

Buhaje	Kor.	140	do	380	za	sztukę
Woły	„	—	„	—		„
Krowy	„	200	„	230		„
Jałówki	„	108	„	160		„
Cielęta	„	28	„	80		„
Owce i kozy	„	—	„	—		„
Świnie (bita waga)	„	144	„	156	za	50 kg.

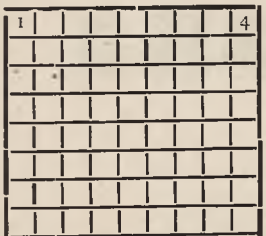
Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 19 kwietnia:

Pszenica	Kor.	10·65	do	11·40	za	50 kg.
Żyto	„	7·50	„	7·90		„
Jęczmień	„	8·25	„	9·—		„
Owies	„	8·35	„	8·85		„
Otręby pszenne	„	5·30	„	5·50		„
Otręby żytnie	„	5·15	„	5·25		„

Zagadki do nagrody.

1. Łamigłówka kwadratowa.

(Ułożył Jan Głowacz z Ż.).



W dziewięciu rzędach ułożyć wyrazy dziewięciozgłoskowe, w którychby litery czytane najpierw od 1 do 2, później od 3 do 4 dały nam dobrze znane przysłowie polskie.

Zgłoski: ju, se, ska, se, tru, ja, rę, za, za, trzen, kun, pierz, kre, skaw, cho, ka, ra, lo, ka, dant, gło, pra, tni, wicz, tarz, ka, wa, ca, ga.

Znaczenie wyrazów: 1. Gwiazda, 2. Autor bajek i powiastek dla dzieci, 3. Kierujący pojedynkiem, 4. Dwie części ciała ludzkiego. 5. Rzecz poświęcana noszona przez wielu ludzi na szyi, 6. Nazwy dwóch stolic krajów wchodzących w skład monarchii austryackiej, 7. Tytuł urzędnika, 8. Kobieta umizgająca się do mężczyzn, 9. Rodzaj poziomki.

2. SZARADA.

(Ułożył Jaś Pasek Błotnicki z D.).

Pierwsze z drugiem jest przykrem, ale pożytecznem,
Lepiej, gdy spotka teraz niźli w życiu wiecznem.
A kto się nie boi, niewiele jest warty
I potem pewno będzie: pierwszy, drugi, czwarty!
Drugie czwarte bolą, — nie pomogą plastry ni gorczyce;
Zadają je na wojnach, w bitkach i klinice.
A niesforne chłopaki drzewom je zadają
Gdy im trzecie — drugie — nożem przecinają.
Całość wstrętne robactwo i każdej gosposi,
Gdy się w domu zamnoży, przykry wstyd przynosi.

3. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Jantek z Bugaja).

a	a	a	a	Gleba, gazeta.
e	e	k	l	Chwast.
l	n	o	o	Imię żeńskie.
r	s	t	t	Natarcie na nieprzyjaciela.

4. ZAGADKA.

(Nadesłał Jan Płodzień z Ch.).

Jeszcze i tę położyć,
Zagadkę nie zawadzi:
Kto jest, który sam ślepy
Ślepego prowadzi?

* * *

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy do wylosowania jak zwykle dwie książki w nagrodę.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 29 kwietnia 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 15 *Roli*: 1. **Szarańcza**, 2. **Łasica**, 3. **Sygnaturka**, 4. **Urszula.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Szarańcza — plaga rolnika,
Gdzie wpadnie tam zboże znika!
Tak samo w czasie wyborów
Szarańcza agitatorów
W każdą dziurę z stronnikami,
Jak łasica za myszami
Lezą, radzą, krzyczą wiele,
Jak sygnaturka w kościele...
Złote góry obiecują,
Lecz potem się zastosują
Do tej bajki w takim ładzie,
Która w ostatniej szaradzie,
Że tam, gdzieś święta Urszula
Szła i swe perły rozsuła
Księżyc wiedział,
Niepowiedział,
Słońce wstało,
Pozbierało.

Wincenty Cechowy.

2.

Pierwsze, straszne to żarłoki
Plaga u nas niewidziana,
Szarańcza. Drugie zwierz to bystrooki
Zwinna, zgrabna, lubiana.

Największy skład przyborów kościelnych i artykułów dewocyjnych.

Szaty kościelne, chorągwie, sztandary, baldachimy, materyały lyońskie, kielichy, dzwonki, różańce, obrazki, figurki, medaliki, krzyżyki etc., po cenach możliwie niskich i w wielkim wyborze.

KONSTANTY WITKOWSKI KORDAS, (przedtem Stanisł. Przybylski)

KRAKÓW, Rynek główny, Linia A—B l. 46/6.

Choć zajączka czasem dusi,
Rolnik łaskę lubieć musi.
Trzecie nie zwierz, ni jaszczurka,
Chociaż budzi, chociaż woła,
To doprawdy sygnaturka
Umieszczona w pół kościoła.
Czwarta świętość, jak się zowie,
Nie zdołałem znaleźć w głowie.

Józef Kulka.

3.

Gryzie, niszczy pola, łany,
To szarańcza mój kochany.
Porównaj i niemów słowa,
Pierwsza szarada gotowa.
Jest i druga, czytam, badam
Łasicy miano jej nadam.
Hej ha! nic, choć boli głowa,
Bo nagrody już połowa.
Trzecia? tak jest, ludzi woła!
Ma ją kościół, ma ją szkoła,
Sygnaturka to rzecz znana,
Lecz nie ludzi ona budzi,
Ja powiem raczej: plebana.
Gdy się więcej trudu zada,
Będzie wnet czwarta szarada.
Wiwat! jest już »całość święta«,
To Urszula w niebo wzięta.
Więc już wszystko Bogu chwała!
Bo nagroda będzie cała.
Że dzieją się różne cuda
Może los trafi Pasiuda.
Dobra będzie każda książka
I Vernego i Pieniążka,
Przyjmę wszystko, co po woli
Będzie Zacnych Panów z *Roli.*

Jan Pasiud.

4.

Gdy myśl jako szarańcza w duszy twej się [skłębi,
I łasić jak cień zmory pocznie dookoła —
Za głosem sygnaturki pospiesz do kościoła,
I do świętej Urszuli pomódl z serca głębi.
Wszak ta niewiasta święta, z rosy pociech [słynie —
Więc i za Cię modlitwą do Pana nad Pany
Zaniesie; — wtedy znikną twe bole, twe rany —
A zdrój wszelakich łask Bożych, do duszy [twej spłynie.

Antoni Kościelny.

5.

Za dawnych czasów,
Za królów Sasów
Szarańcza leciała,
Na polach siadała.
Łaski też tam były,
By myszy tępiły.
I sygnaturką dzwoni
Kościelny Antoni.
Święta Urszula
Orzeźwiła rosą pola,
A gdy słońce wstało,
Rosę pozbierało.
Gdy źle rozwiązane
Naganę dostanę

Jan Pożdał

6.

Czaszą zwana głowa trupia,
Czaszą puhar także zwany.
Szarańcza się razem skupia,
Co tak niszczy pola łany.
Że siła jest drugie pierwsze,
To już łatwo zgadnąć przecie.
Cała — rzecz ułożyć wiersze,
Że tem łasica, wy wiecie.
Bez pieniędzy każdy syka —
Przy pieniądzach dobre kasy,
Tur podobny był do byka.
Gdy cię ktoś gna, zmykaj w lasy,
Albo biegnij w dom modlitwy,
Jeśliś nie jest wiary Turka
Z Polski, Rusi, Żmudzi, Litwy,
Bo cię woła sygnaturka.
Laur jest wieńcem poety,
Co cię w swych »trenach« rozczula.
Myślę, żem dobiegł do mety,
Bo czwarte — święta Urszula.

A. Groele.

Oprócz tego nadesłali rozwiązania PP.: A. Osadziński z M.., Z. Bogdański z J., R. Kula z M. K., Zarząd kółka roln. z W., J. Zyzak z Ż., J. Zieleźnik z Cz., A. Warchoł z Z., J. Fierich z K., K. Baran z P., A. Kała z Ch., J. Stelmach z Rz., J. Kassolik z P., F. Teper z M. K., Jantek z Bugaja, K. Szeliga z B., K. Żyła z F., W. Ćwiok z P. B., J. Głowacz z Ż., A. Bezokówna z K. m., M. Golaz z Ł., J. Więcek z S., J. Szybowicz z S., J. Moś z Cz., J. Gaber z W. Ł., W. Żak z P., Wł. Misiaszek z S., M. Dudek z Ż., S. Ledziński z D., Koło Macierzy szkolnej w Stonawie, Błotnicki z D., B. Targowski z T., A. Buszydlik z W., W. Stefański z G., J. Walatek z R., F. Żebrok z B., J. Wolański z K., M. Stożek z Z., S. Misiewicz z Cz., J. Świętek z P., J. Kieliszek z M., Z. Oraczewska z Ż., F. Klocek z N. T., K. Biłko z S., J. Czachor z M., W. Gołyzniak z R. w., J. Sasak z Z., W. Cebulski z K., A. Stupnicka z B., J. Waszek z J., M. Pałac z O., J. Iwański z T., J. Płodzień z Ch., H. Łukawski z J., J. Hirszberg z K., J. Pękala z H., M. Chmiełowicz z K., F. Sierodzki z M. K., J. Burghardt z S., J. Kobylańska z B., M. Radlmesserówna z S., J. Wojnar z M. G., J. Wiącek z S., Fr. Pietryka z K., Józef Zach z B., Piotr Bielecki z D., Józef Gąsior z S., A. Feber z S., Kędzierski Piotr z P. (wierszem), Stefan Dziadyk z M., W. Nowacki z Z., A. Zieliński z M. Z., Wojciech Rojek z P., Tomasz Chmura z S., Wojciech Szocik z D. M., Juroszek Paweł z L., Adam Jesionek z Ch., J. Kobylański z L. (wierszem), Franc. Wolf z P. L., F. Święch z O., Adam Rzeźwicki z R., Franciszek Chrzan z H., Aniela Stana z W. G., Kalityński Wł. z P., Ant. Małecki z L., Józef Witek z Ś., Wincenty Flis z L., Piotr Gajoch z P.. Wład. Łanoszka z S.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Piętnastoletni kapitan*** wylosował **p. Jędrzej Wolański** z K., zaś drugą p. t. ***Polska i Krzyżacy*** **p. Paweł Juroszek.**

ZJEDNOCZONE AUSTRYACKIE TOWARZYSTWO ŻEGLUGI PAROWEJ

Austro-Americana

Regularna i  bezpośrednia

komunikacya z Austryi do **Ameryki północnej**: **(Stany Zjednoczone i Kanada)**;
do Ameryki południowej: Argentyny, Brazylii i t. d.

w ruchu osobowym i towarowym zapomocą najnowszych, pierwszej klasy parowców o podwójnej śrubie.

Na parowcach aparaty telegraficzne bez drutu, systemu Marconiego.

Informacyj udzielają i sprzedaż kart okrętowych uskuteczniają:

Dla zachodniej Galicyi i Bukowiny:

Kraków: Jeneralna Ajencya Austro-Amerikany
(Goldlust i Ska. Biuro spedycyjno-komisowe)
ulica Lubicz 7 naprzeciw dworca kolejowego.

Dla Galicyi wschodniej:

Lwów: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany
Na Błonie 2. oraz wszystkie prowincyonalne ajencye, następnie

Tryest: Dyrekcya Austro-Amerikany, Via Molin Piccolo 2.
Wiedeń: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany,
II. Kaiser Josefstr. 36. 114

ROZKŁAD JAZDY

a) z Tryestu do Nowego Jorku:

Argentyna . . . 22 kwiet.
Oceania . . . . 13 maja
Alice . . . . . 20 maja
Martha Washington 27 maja

b) z Tryestu do Argentyny:

Atlanta . . . 27 kwiet.
Sofia Hohenberg . 18 maja

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.